Nr. 4. Lwów, Niedziela dnia 24. stycznia 1875 r. **Rok II.**



TOM I.

PRENUMERATA we LWOWIE:
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie **12** złr., półrocznie **6** złr. kwartalnie **3** złr.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie **14** złr. półrocznie **7** złr. kwartalnie **3** złr. **50** cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni **D. E. Friedleina.**

Redaktor **A. J. O. ROGOSZ.**
Wydawcy: **A. J. O. ROGOSZ i F. H. RICHTER.**
Główny skład w księgarni F. H. RICHTERA we Lwowie.
Biuro redakcji przy ulicy Halickiej l. 52

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie **8** tal. półrocznie **4** tal. kwartalnie **2** tal.
NA PROWINCJI:
Rocznie **9** tal. **10** sgr. półrocznie **4** tal. **20** srg. kwartalnie **2** tal. **10** sgr.

LUŹNE UWAGI.

IV.

O SZERZENIU OŚWIATY POMIĘDZY LUDEM.

III. Oświatę rozkrzewia się bardzo: żywem słowem, a każdemu nasuwa się po temu sposobność i obowiązek, kto z ludem się styka, — od księdza w parafji począwszy, do oficjalisty najskromniejsze zajmującego stanowisko. Nie rozchodzi się o to wcale, aby przy każdej sposobności występować wobec ludu z nauką jakąś, bo byłoby to i niemożebne i do celu nie wiodące; rzecz cała polega na tem, aby stykając się z ludem, rozmawiać z nim. W rozmowie unikać należy przedewszystkiem wyrażeń trywjalnych, pozwolę sobie powiedzieć: „chłopskich“—a mówić swobodnie, naturalnie, sposobem zrozumiałym dla słuchacza. Chłop nasz jest nader rozmowny, lubi nawet gadulstwo, boć to właściwość polska—ale z tym tylko rozgada się na dobre, kto zdoła śród rozmowy pozyskać jego zaufanie. Aby tego dostąpić, należy przedewszystkiem rozpocząć rozmowę o przedmiotach i wydarzeniach chłopa obchodzących. „Jakże się tam u was zboże urodziło?“ „jak się bydło chowa?“ „czy ludzie dobrze się mają?“ i t. p. a dopiero przy takiej sposobności, można zręcznie wtrącić nie jedną uwagę, nie jedno słowo, co jak ziarno rozrośnie się w kłos obfity w wieśniaczej piersi.

Pozwolę sobie nadużyć cierpliwości czytelnika, opowiedzeniem wypadku, jaki mi się wydarzył w okolicach Tarnowa.

Nająwszy na dworcu drogi żelaznej w Tarnowie furmankę, jechałem gościńcem po za Tuchów. Śród drogi, spinał się nasz wózek ku wysokiej górze, droga przez nią długa, konie szły zwolna, chłopak zapalił lulkę i rozpoczęliśmy gawędkę od tego, czy koniom daje owies, czy tylko sianem je karmi. Gawędka rozwijała się prędko i jakoś dobrze nam z tem było, bo mój woźnica ożywił się, rozgadał z zadowoleniem, a ja prawdziwą miałem przyjemność.

Widać zyskałem sobie jego zaufanie, bo po chwili zapytał mnie obcesowo: „A co tam słychać w świecie?“ Zacząłem mu opowiadać o tem i owem, a ostrożnie, spokojnie, niby od niechcenia, lecz wciąż rozbudzając jego ciekawość. Niedługo wyjechaliśmy na szczyt góry, a potem z góry na dół w mgnieniu oka prawie byliśmy w Tuchowie. Trzeba było koniom odpocząć, stanęliśmy pod karczmą, a mój woźnica zaczyna nieśmiało: „Proszę pana, a cós się po tem stało?“ Udając śpiącego powiadam mu: „Mnie się spać chce, to się położę nim konie zjedzą, a wy jak chcecie więcej wiedzieć, to przeczytajcie sobie gazetę.“

— „Ej, cós bo pan mówią? skądżebym wziął gazety? a ja na gazecie nieucony.“ „A na ksiązce do modlenia znacie?“ „A co by nie, juści znom.“ „A no, to gazeta tak samo drukowana.“ Wyjąłem egzemplarz pisma ludowego „Włościanin,“ które wówczas wydawałem w Krakowie i podałem mu takowy. Chłop zobaczywszy gazetę, oglądnął ją na wszystkie strony, potem ostrożnie, jakby z bojaźnią począł wpatrywać się w pierwszą stronicę, a nagle zawołał wesoło: „A dyć to tak samo pise jak na ksiąsce do modlenia!“ Ja udałem, że śpię, a mój woźnica czytał i czytał gorliwie, na pół głośno, pomrukiwał coś i uśmiechał się zadowolony. W godzinę jechaliśmy dalej, rozmawiając o tem, co czytał, ale nie przyznawałem mu się, kim jestem. W tydzień, gdy wróciłem do Krakowa, zastałem nadesłaną od tego wieśniaka prenumeratę na „Włościanina.“

Wypada mi przeprosić czytelnika za przerwanie pogadanki, opowiedzeniem tego epizodu; sądziłem atoli, iż wyjaśni rzecz lepiej, niż teoretyczne omawianie przedmiotu.

Nie zawsze udać się może rozmowa i zakończyć tak pomyślnym rezultatem, jednak zaniechać jej nie należy nigdy przy zdarzonej sposobności już z tego samego powodu, aby się lud przyzwyczajał swobodnie rozmawiać z inteligencją, by się ośmielał zbliżać do niej, a to już niemały pożytek.

Jak w pismach dla ludu przeznaczonych, tak i w rozmowach takich, należy być nader ostrożnym, roztropnym. Nigdy nie trzeba ani pisać, ani mówić gorąco, z uniesieniem. Mylą się ci, zwłaszcza młodzi ludzie wychowani w mieście, którzy sądzą, że żarem własnych uczuć, rozpalą płomienne ognie w duszy wieśniaczej. Chłopu trafi się do rozumu, do przekonania — lecz wyjątkowe to zjawisko, jeżeli się go zdoła porwać, zachwycić, pociągnąć za sobą zapałem. Chłop podejrzywa wszystko, co entuzjastyczne, gorączkowe, chłop jest bardzo praktyczny obok swojej ciemnoty i wcale niepraktycznego życia.

Życzyćby wypadało, aby odzwyczaiła się inteligencja wiejska od używania epitetów co najmniej niewłaściwych i niedorzecznych, mianowicie: od przezywania wieśniaka „chamem“ itd. Właściciele i dzierżawcy dóbr, powinniby stanowczo wykreślić ten wyraz ze słownika swych oficjalistów. Każdy inny wyraz, choćby dość dobitny, w gniewie wypowiedziany, nie zaszkodzi tyle, ile powyżej wyrażony. Trzeba koniecznie na każdym kroku okazywać chłopu, nie zniżając się wcale do niego, że się go za równego sobie uważa, a więc wyraz „cham“ oznaczający jakieś kastowe pojęcie a pogardliwe chłopa, czyli wieśniaka, w przeciwstawieniu do „pana“ czyli inteligencji, zniknąć z języka naszego powinien.

SERCE I RĘKA.

POWIEŚĆ PRAWIE HISTORYCZNA

przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Wkilka dni po katastrofie—szambelan właśnie miał wychodzić z hotelu aby smutek swój topić w falach jeziora, gdy powóz zajeżdżający wysadził na próg panią Radczynię... zakwefioną, strojną, obłożoną mnóstwem paczek... omdlewającą, nie wiadomo ze wzruszenia czy z gniewu. Szambelan poznawszy ją po wykrzykniku, jakim go powitała, pospieszył podać jej rękę....

— Prowadź mnie natychmiast do niej... gdzie jest Zygmunt?

— Zygmunt był śmiertelnie chory, zaledwie powstał — ocalony cudem.... Miał tyfus!! Nic przed nim mówić nie można....

— A Olimpja?

Szambelan zająknął się.

— Wszystko pani opowiem — ale naprzód, rzekł, każ pani dać sobie pokoje.... bo... tak będzie najlepiej.....

Usłuchawszy rady, prowadzona przez szambelana, Radczyni weszła do wyznaczonego jej apartamentu — i padła na fotel.... Podniosła oczy na zakłopotanego towarzysza swego....

— Mów pan, odezwała się — mów mi pan wszystko, otwarcie.... Jestże to prawda, że ten — ten niegodziwy uwodziciel tu się znalazł — że ona — bezwstydna....

— Zapewne że on tu być musiał, wyjąknął szambelan — ja go nie widziałem— starałem się ignorować to czemu już zapobiedz nie byłem w stanie. Zygmunt leżał — między życiem a śmiercią. Musiałem być przy nim... a tymczasem....

— Cóż się stało?

Szambelan nie śmiał dokończyć.

— Mów, ale mówże co się stało?....

— Mojej synowej nie ma, nie ma ani śladu od dni kilku, znikła....

Radczyni krzyknęła i omdlała. Szczęściem razem z tłomokami które wnoszono, weszła służąca jej, obeznana z mdłościami swej pani — i natychmiast dobyła z podróżnych worków trzeźwiące leki, tak że szambelan który osób już w wieku ratować nie czuł się powołanym, od trudnego tego obowiązku był uwolnionym.

Pozostał tylko świadkiem skruszonym przyjścia do zmysłów i towarzyszącego mu gniewu Radczyni. Odprawiła sługę szybko. Kazała drzwi zamknąć i wstawszy żywo z krzesła postąpiła groźnie ku staremu, który stał jak winowajca.....

— Otóż to owoce tego, gdy się z ludźmi bez taktu i wychowania ma do czynienia — zawołała pani. Wiedzieliście panowie o charakterze Olimpji i jej usposobieniach, myślałam że się z nią obchodzić potraficie.... Wszystko to winni jesteśmy wam! Wam!

— Ale pani dobrodziejko.

Radczyni biegała gniewna i zaperzona.

— Cóż ja teraz powiem, co poczne z mężem? Co on biedny zrobi gdy się o tem dowie? Jest jaki ślad?

— Żadnego.... Wszystko to z góry obrachowane być musiało.

— Nie robiliście poszukiwań?

— Lękaliśmy się rozgłosu! milczeliśmy, a mimo to dziennik wychodzący w Lozannie umiescił korespondencję z Genewy.... Całą w niej tę historję opisano.

Radczyni załamała ręce.... Szambelan stał pogrążony w smutku. Oboje czuli piorun który uderzył, lecz żadne z nich nie wiedziało co począć dalej i jak się ratować. W istocie nie było może ratunku.... Matka zaczęła płakać.

— Pani, odezwał się szambelan —wchodzę ja bardzo w przykre, boleśne jej położenie, lecz racz pani też na moje zwrócić oczy. Syn mój, złamany chorobą, imie nasze okryte sromem, przyszłość zabita — pośmiewisko ludzi... oto owoce....

— Milcz waćpan, wtrąciła przybyła — chcieliście tego i modliliście się o to... a nie mieliście dosyć taktu by wyjść z tego położenia.... Zygmunt miał kilkanaście dni podróży na owładnięcie słabą kobietą nie umiał zostać jej panem?... Któż mu winien? Dziś nie pozostaje wam nic, mnie nic, jak stawić czoło nieszczęściu mężnie.... Ja... nie mogę tu pozostać ani chwili, muszę spieszyć aby wiadomość o tem nie uprzedziła mnie do Zabrzezia... Mogłaby zabić nieszczęśliwego ojca.... Moje miejsce teraz tam.... Jam winna! jam winna, żem taki wybór uczyniła, żem zmusiła dziecko, żem je popchnęła w przepaść.

I matka macierzyńskiemi łzy płakać znowu zaczęła.

Nierychło potem gniew przyszedł po łzach, po wybuchu jego łzy wróciły.... Radczyni nie mogła nawet swojego ulubieńca Zygmunta zobaczyć, bo nie czuła się na siłach spokojną przywitać go twarzą. On dotąd nie wiedział o niczem.

Cały ten wieczór spłynął na naradach. Radczyni naganiała to szambelanowi iż zawczasu żadnych poszukiwań nie czynił. Rozgłos i tak był wielki, sprawy to popsuć nie mogło — a któż wie, możeby na ślad zbiegów wprowadziło....

Postanowiła nawet wypocząć cały dzień następny w nadziei, iż staraniom szambelana uda się może coś odkryć. Usłuchawszy rozkazów szambelan nazajutrz rano, wedle metody swojej, udał się potajemnie do bióra policji i prosił o posłuchanie prezesa....

Ten przyjął go nadzwyczaj grzecznie wyczytawszy na karcie całą litanję tytułów... Szambelan z wielką wymową, z pewnemi ogródkami, opowiedział mu nieszczęśliwy swój wypadek, którego prezes słuchał z wyrazem kondolencji na twarzy.

— Panie Radzco, rzekł w końcu — do spraw natury czysto prywatnej, mogących spokój familji zakłócić, nasz urząd nie zwykł się mięszać, jak skoro one publicznej moralności nie tyczą.... Puszczamy je mimo uszów i mimo oczów. Są przekroczenia, które opinja toleruje — których prawo nie karze, chyba wezwane przez interesowanych. Takiej natury zdawała mi się ta nieszczęśliwa przygoda, o której byłem uwiadomiony. O co panu teraz idzie?

— O odkrycie zbiegłych! mogło by się to jeszcze po cichu i bez skandalu rozwodem lub inaczej ułożyć....

— A! rzekł prezes... sięgając po książkę.... Przed dniami dziesięcią ci państwo zwykli byli przebywać nad jeziorem w domku zwanym V i l l a S e r e n a....

— Może tam się znajdują jeszcze?

— Tego nie jestem pewny, willa ta już do mojej juryzdykcji nie należy....

Podziękowawszy prezesowi szambelan wziął natychmiast powóz i nie rozważywszy co czyni, wprost pojechał do wskazanego domu. Nie myślał nawet o tem iż mógł spłoszyć zbiegłych.... Zwykła przezorność opuściła go tym razem....

U drzwi willi.... wisiała znowu tablica z napisem: A v e n d r e o u a l o u e r.... Stara kobieta mrucząc wyszła do niego i opowiedziała mu, iż dwoje tych państwa od kilku dni willę opuścili.... Siedli na statek parowy, który w różnych miejscach do lądu przybijał, a z miejsc tych znowu rozchodziło się tyle dróg po całym świecie!!

Był to ostatni ślad jaki o zbiegłych powziąć zdołał nieszczęśliwy szambelan.... Policję szwajcarską całe życie potem przeklinał i różne o niej opowiadał dziwy.

* * *

Zygmunt wyzdrowiał nareszcie, przygotowywany zwolna przez ojca, później przez radczynię, która objęła nad nim troskliwą opiekę, dowiedział się o katastrofie jaka go spotkała, nie okazując nadzwyczajnego wzruszenia. To co doznał wprzódy, zwrót jaki rozmowa pamiętna z Klarą wywołała w nim, zmieniły jego postanowienia. Wprzódy nim się o tem miał czas porozumieć z matką Olimpji — wyznał przed ojcem spokojnie, że jedyną rzeczą której życzy sobie, jest rozwód i wyjście z fałszywego położenia. Szambelan właśnie dla tego nie chciał na to zezwolić, iż stojąc przy nierozerwalności małżeństwa, spodziewał się więcej utargować. Porwał się więc usłyszawszy to prawie z gniewem.

— Ale toby było szaleństwo? zawołał — jakto? dać im za wygraną, poddać się i po tylu zachodach wyjść z tego ze stratą i pobitym, ze wstydem i szkodą! Nigdy na to nie pozwolę! Przepraszam! Nie żeniliśmy się dla ich pięknych oczu — mieliśmy na widoku koligacje i miljony... nie taję tego, mamy w czystym zysku wstyd.... niech że się choć do kaduka opłaci!

— Opłacony jeszcze się powiększy! rzekł Zygmunt. Jedynym sposobem wyjścia z brudnej sprawy niezbyt powalanym, jest nic nie żądać i nic nie wziąć....

— A! to teorja godna ciebie! Znasz doskonale świat! Z majątkiem, wołał stary, wszystko ci przebaczą, a goły możesz być kryształowej czystości, będziesz śmiesznym. Słuchałeś mnie Zygmuncie dotąd —dodał— proszę cię posłuchaj do końca. Nie graj roli Don Kichotta.... Opieram się temu jak najmocniej. Olimpja ze swym kochankiem tak na wieki wieków przepaść nie może, zgłosi się do rodziców, zechce uprawnić swe położenie, nie może się kryć wiecznie.... Rozwód jest jej potrzebny, im a nie nam, my możemy czekać — będziemy czekali, ale krzywdę nam wyrządzoną muszą opłacić. Dla nas to ruina. Wejść na nowo w świat tobie po takim wypadku trudno, ożenić się bogato i świetnie prawie będzie niepodobna.... Za zawód jakiśmy doznali muszą się opłacić.

— Ale oni też powiedzieć mogą, że byliśmy ostrzeżeni i wiedzieliśmy cośmy brali.

— Tak jest, między nami — lecz wobec świata wszystko inaczej wygląda. My wyglądamy na oszukanych, na pokrzywdzonych, mamy prawo krzyczeć, muszą nam usta zamknąć.

To mówiąc szambelan kręcił się po pokoju, przypadł do Zygmunta ucałował go i rzekł:

— Nic do niczego się nie mięszaj, proszę, proszę bardzo, zaklinam — zostaw to mnie. Chory, możesz stać na boku... ja za ciebie będę czynnym.... Tylko się nie mięszaj.

Radczyni niespokojna o męża, naglila

tymczasem o stanowczą rozmowę i postanowienie. Szambelan stawił się jako umocowany, tłumacząc syna smutkiem i osłabieniem....

— Radźmy więc....

Radzili, radzili dzień i drugi, ale z obrad tych nic jakoś zaspakajającego wynijść nie mogło. Szambelan dyplomatyzował, nie dopowiadał, pływał w ogólnikach, nie wyjawiał zdania; narzekał tylko na złamany los Zygmunta. Matka Olimpji miała szczególniej na względzie ojca.... Kryła ona dotąd przed nim nieszczęście córki, które było jej winą; znała jego przywiązanie do Olimpji i wiedziała że nie przebaczy jej nigdy losu córki, że odkrycie to rozerwie ich stosunek i może mieć dla radzcy najgroźniejsze skutki. Żył tylko tym dziecięciem....

Chciała ile możności najdłużej czuwać przy radzcy, aby się o niczem nie dowiedział i wyczekiwać, ażeby coś stanowczego zaszło. Łudziła się nawet nadzieją, że Olimpja może powróci i że Zygmunt zrezygnuje się przyjąć ją zapomniawszy o obrazie i wybryku....

Chciała więc wracać do Zabrzezia, spleść jakąś bajeczkę o chorobie córki, o podróży i przeciągnąć stan ten — jak najdłużej.... pókiby — pókiby??... sama sobie dobrze nie zdawała sprawy... póki to trwać mogło....

Szambelan nie był temu tak dalece przeciwny, i on znajdował to prowizorjum lepsze jak rozbrat zupełny z nadziejami.

Oprócz innych korzyści, miał i tę na widoku, że pod rozmaitemi pozory będzie mógł od radzcy i radzczyni — ciągnąć grosz, którego nieustannie potrzebował....

Stanęło więc na tem że pani miała odjechać do domu, a Zygmunt pozostać w Genewie, czy gdzieby mu się podobało, a w sąsiedztwie Zabrzezia i po świecie, mówiło by się zawsze iż młode małżeństwo podróżowało.... Podróż mogła się nawet przeciągnąć.... Zygmunt za żonę mógł pisać do ojca, lub niby pod jej dyktowaniem itp. Matka brała na siebie dozór w Zabrzeziu.... Resztę musiano zostawić losowi.

Gdy radczyni już się pakowała do powrotu, szambelan namyślał się jeszcze, czy ma Zygmunta zostawić samego, czy z nim pozostać jeszcze. Choroba i doznane bole moralne tak zmieniły Zygmunta, iż ojciec się nieco obawiał rzucić go tak samym, aby jakiego heroizmu nie popełnił. Dawniej szambelan był przekonanym że syn wychowany przezeń ma dosyć zmysłu praktycznego, teraz o nim wątpić zaczynał. Uznawał go słabym. Dla wzmocnienia więc postanowił czas jakiś z nim jeszcze bawić. Matka Olimpji przyszła nieszczęśliwego zięcia pożegnać, do którego po ochłonięciu z pierwszego gniewu, czuła znowu słabość dawną.

— Mój Zygmuncie, szepnęła ściskając rękę jego na odjezdnem — miej męztwo i wytrwałość. To co się stało — nie jest na prawdę ani nowem ani niespodzianem, nieszczęście — to prawda, ale mam przeczucie że ty z niego wyjdziesz tak że o tem świat nie będzie wiedział.... Olimpja wróci... zgłosi się.... Nie daj się tylko do zrzeczenia się swych praw nakłonić. Ojciec i ja radzimy ci to zgodnie. Bądź cierpliwy. Tymczasem odpoczywaj, podróżuj, odzyskaj zdrowie, a do mnie pisz, ażebym wiedziała zawsze gdzie mam szukać ciebie....

Po czułem pożegnaniu, przeprowadzona aż na kolej przez szambelana radczyni, pospieszyła do domu — ojciec pozostał z synem.... Wpatrywał się ze zdumieniem w Zygmunta i nie mógł pojąć zmiany jaką w nim znajdował. Nie choroba ale wstrząśnienie od tego policzka hrabinej, opamiętało zepsutego ale nie dopsutego człowieka.... Całą obrzydliwość swojego postępowania widział teraz dopiero i gryzł się nią. Szambelan rozpaczał widząc długich lat dzieło rozsypujące się w gruzy. Codzień go prawie w rozmowie z synem chwytał na projektach, które go oburzały. Zygmunt pragnął tylko, jak mówił spokoju, kąta na wsi, wytchnienia po tem, co doznał. Dawał za wygrane przyszłości.

Uczucia te chwilowo były usprawiedliwione, ojciec się tylko lękał, ażeby utrwalić się nie chciały.

— Ja cię nie wychowałem na anachoretę, prawił. Wielka rzecz że się raz nie udało. Być może iż w tem i mojej winy jest trochę, lecz grając o tak wielką stawkę nie wstyd się i pośliznąć. Cóż u licha! przypatrz się małżeństwom naszych najpierwszych rodzin, wejrzyj w pożycie, które nikomu nie jest tajne.... Spotkasz się z mnóstwem tego rodzaju przygód, których rozsądni ludzie tak tragicznie nie biorą.... Na tym wielkim świecie to chleb powszedni. W małym, na który nikt nikt nie patrzy, o którym nikt nic nie wie, dzieje się podobno może gorzej jeszcze. Główna rzecz by człowiek niezawisłość sobie wyrobił i majątkową podstawę — reszta — kto tam na to zważa!! Abdykować się nie godzi nigdy....

Ale ani te ani wyrazistsze jeszcze kazania z przykładami, nie zdawały się działać na Zygmunta. Chciał bądź co bądź wyjść z zasadzki w którą wpadł. Szambelan nie był przeciwko temu, ale... zawsze dodawał — moyennant finance.... U niego to było pierwsze i ostatnie słowo.

Zdało mu się w końcu po kilku tygodniach iż Zygmunta nieco przerobił i przywrócił do stanu quo ante bellum. Potrzeba mu było odjeżdżać — chciał bowiem i w Zabrzeziu się pilnować. Nie byłby może śmiał opuścić syna, gdyby los nie nastręczył mu pożądanej pomocy.

Gdy już Zygmunt do sił przychodził, major Redke, choć odprawiony ale nie dający się odprawić, przyszedł raz o stan zdrowia barona się dowiedzieć. Szambelan go tu poznał. Redke nie był trudnym do ocenienienia, na pierwszy rzut oka każdy w nim musiał awanturnika dojrzeć, dogodnego do usług, chciwego grosza, nie oglądającego się na sposoby nabycia go....

Szambelan lubił takich ludzi.

— Z nimi bo to odkryta gra — od razu wiesz gdzie się możesz skaleczyć, pilnujesz się, a masz tę dogodność że ci służą jak chcesz, że nie mają głupich zgryzot sumienia, delikatności przesadzonych, honoru do ochraniania itd.

Od pierwszego spotkania zrozumieli się ci dwaj ludzie godni siebie.... Major poszedł na spacer ze szambelanem, wielce go honorując, bo zaraz poznał słabą żyłkę. Zaprowadził go do doktorowej, ale stary grać nie chciał, a co do umizgów na te był obojętny.

— Słuchaj majorze, rzekł wychodząc— mnie w grę nie wciągnie nikt, to daremny zachód — a co się tyczy kobiet... za stary jestem.... Więc to fałszywa spekulacja.

Major się chciał obrazić, stary się rozśmiał.

— Daj pokój — lepiej o czem innem pogadajmy, ja ci mam interesik dobry do zaproponowania....

Słysząc to Redke zaraz ochłonął.

— Rzecz jest taka — mnie trzeba jechać do domu, syna muszę tu zostawić. Nie mam się czego taić, bo wy to wiecie i tak, że żona odjechała go z awanturnikiem tym Fratellim. Zygmunt nie może powrócić do kraju, dopóki się ona nie wyszuka i coś z nią nie ułoży. On zniechęcony... boję się żeby albo się ztąd nie wyrwał przed czasem, albo pochwycony nie zrzekł się swych awantażów. Kogoś mi tu potrzeba zostawić na straży. A dobrze by też było żeby powoli, nieznacznie i tego Fratellego szukać... śledzić. Jestem pewny że oni się kryją w Szwajcarji, bo tu skryć się nadzwyczaj jest łatwo. Ale pieniędzy wiele nie mają... będą musieli ogłodziwszy się wyjść z kryjówki... można by ich gdzie przyłapać. Otóż proponuję ci misję.... nadzór nad Zygmuntem, raportowanie mi o nim.... Szukanie zbiegów. Les bons comptes font les bons amis. Oszukać mnie i naciągnąć, kochany majorze, nie staraj się, bo ja jestem stary, kuty wyga... ale zarobić możesz coś wcale ładnego.... Za dozór naznaczymy miesięczne quantum, z góry płatne.... Za odkrycie zbiegów dam piękną premję... tylko faux frais, kochany majorze!... niech będą obliczane nie podwójną kredką!

Pogroził mu na nosie. Major wziął to z dobrej bardzo strony i zaczął się śmiać.

— E! szambelanie kochany, rzekł ściskając go i całując w ramię — z ludźmi jak wy to naturalnie inaczej się postępuje niż z innymi... pospolitą gawiedzią, gent tailliable et corvéable a merci. Cóż chcesz? żyć trzeba, czasy okrutnie ciężkie, a głupi ludzie stworzeni na to aby na nich żyli mądrzejsi.... To darmo. Prawo natury! panie szambelanie — prawo natury....

Śmieli się oba....

— Wszystkie warunki przyjmuję, dodał Redke.... Lubię i cenię tę pańską otwartość szlachetną. Z takimi ludźmi jak wy, porozumieć się można.... Wszystko dobrze, tylko trzebaby zapobiedz aby baron Zygmunt przez jaki kaprys pozbyć się mnie nie chciał.

— O! nie — rzekł szambelan, będzie osamotniony... a major potrafisz go sobie pozyskać....

Reszta rozmowy przy absyncie za który szambelan zapłacił, tyczyła się już szczegółów i wykonania. Zygmunt nie powinien był wcale wiedzieć o misji powierzonej majorowi.... Redke upewniał że z gorliwością największą potrafi się zająć główną sprawą, wyszukaniem zbiegów. Był on także tego zdania iż długo ukryci zostać nie mogą, a ukrywać się gdzieindziej jak w Szwajcarji

lub Włoszech nie potrafiliby pewnie. Miał najpiękniejsze nadzieje... zwracał tylko uwagę szambelana na to, iż nie mając kapitałów rozporządzalnych, nie mógłby być czynnym, nie otrzymawszy jakiegoś forszusu na rachunek przyszły. Stary baron był tak szczęśliwie usposobiony że się i na to zgodził, a najgorsze kulfony jakie miał wybrawszy dukatami ofiarował zaliczkę. Major nie wglądał tak dalece w rodzaj monety. (C. d. n.)

PRZYCZYNKI
do
ZNAJOMOŚCI TATR.

Podał
Dr. E. Janota.

(Ciąg dalszy.)

Niezawodnie większym szkodnikiem niż niedźwiedź jest wilk. Mauksch przytacza dwa przykłady o wilkach oswojonych. Jednego widział w Bardyjowie, który zawołany po imieniu zrywał się natychmiast i oczekiwał rozkazu pana swego. Dla szkód atoli, jakie robił musiano trzymać go na łańcuchu. Inny wilk oswojony chował się w domu rzeźnika w Popradzie[1]. Gdy wyszedł na ulicę, psy szczekały na niego; z czasem jednak tak się przyzwyczaiły do niego, że na widok jego żadnej nie okazywały bojaźni; atoli obce psy wyły, gdy go zobaczyły. Wilk ten chodził nietylko wszędzie z panem swoim, ale i sam chodził po miasteczku pomienionem i nigdy żadnej nie wyrządził szkody. Czasem stawał na ulicy, poglądał w pole ku lasowi i wył na całe gardło. Gdy go wówczas pan zawołał, zamilkł i usłuchał głosu jego; lecz raz wył tęskniej i dłużej niż zwykle, nie zważał na zadne wołanie, owszem zamiast usłuchać, pobiegł w pole i do najbliższego lasu, nie dając się wstrzymać ludziom pracującym w polu, którzy go dobrze znali i zatrzymać chcieli.

Wiadomo, że wilk jest bardzo ostrożny i niedowierzający. Lecz głodem przyciśniony zapomina zupełnie o potrzebie przezorności i staje się zapamiętale zuchwałym. W Wielkim Sławkowie jeden taki rabuś już wiele gęsi nabrał był znad potoku, a nikt nie domyślał się, gdzie się podziewały. Wreszcie zdradził go trop na świeżym śniegu; atoli chociaż czatowano na niego i ścigano go, nie poprzestał swoich kradzieży i przebieglej niż lis umiał unikać wszelkich niebezpieczeństw. Inny napadał psy wychodzące w lecie z żniwiarzami w pole, a jeszcze inny, z krzykiem przez wieś ścigany, młodemu człowiekowi wystawiającemu za okno świeżo ulaną świecę, ażeby zastygła, wydarł ją z ręki.

Aczkolwiek za ubicie wilka płacono, przecież kłusownicy woleli i dotąd wolą za inną chodzić zwierzyną niż za wilkiem. Jeżeli zaś przypadkiem chłop zabił wilka, wziąwszy w urzędzie nagrodę, z wypchanym wilkiem chodził od wsi do wsi, wybierając datki, co Niemcy spiszy nazywali: Auf den bösen Wurm bitten. Wspomina jednak Mauksch o jednym Wielkosławkowianinie, który szczególny miał sposób zasadzania się na wilki. Rzucał on na polanę lub jakie inne miejsce otwarte w lesie nętę. Spostrzegłszy przy niej trop wilczy lub lisi, brał strzelbę i worek do połowy sieczką napełniony i o zmierzchu wychodził na zasadzkę. Przyszedłszy na miejsce, właził po pachę do worka i kładł się na śniegu. Ubił on wiele zwierząt drapieżnych, a nie doznawszy żadnej szkody na własnem zdrowiu, sędziwego dożył wieku. Atoli co jednemu jakoś płazem uchodzi, inny drogo przypłaca. Tak inny kłusownik, który, mając zwyczaj wychodzić wczas rano po ciemku i zagrzebawszy się w śniegu, czatować na kuropatwy, z zaziębienia nabawił się wodnej puchliny klatki piersiowej; ów chłop zaś, któremu niedźwiedzica czuprynę zdarła, sypiał więcej w lesie niż w domu, przyczem nawet ognia rozniecić mu się nie chciało, dosyć mu było, wrazić łeb pod krzak. Jednak pewnego mokrego i zimnego dnia jesiennego tak się przeziębił, że przyszedłszy do domu, po trzech dniach umarł.

[1] Deutschendorf.

Rysia nikt w Tatrach nie pamięta. Zachodzi on czasem na Spiż do lasów beskidskich z okolic dalej na wschód położonych. Mauksch znał jeden tylko wypadek zabicia rysia w lasach lubickich[1].

Również rzadkim jest borsuk. Tem częściej napotyka się lis tak w samych Tatrach jak na Podtatrzu. Chłopi nie są na niego tak zewzięci jak myśliwi z urzędu, bo im nie wiele robi szkody; szczekanie licznych psów po wsiach odstrasza go od kurników. Gdy mu innej zabraknie żywności, poluje za myszami i staja się dobroczyńcą rolnictwa. Aż miło patrzeć, powiada Mauksch, gdy on, jakby igrając, na śniegu ugania za myszami. Mauksch wspomina o dwóch oswojonych i już dorosłych lisach. Chodziły sobie zupełnie swobodnie po podwórzu między drobiem, nie zaczepiając go bynajmniej, ale z ulicy kradły niespostrzeżenie cudze kaczki i zegrzebywały je w nawozie, aby je potajemnie zjadać. Futro zimowe lisów tatrzańskich jest piękne, co ostrym i długim zimom w tych okolicach przypisać należy.

Dzisiaj jak wszędzie w kraju tak i w Tatrach i na Podtatrzu naszem i węgierskiem rzeczy zmieniają się nie na lepsze, lecz na gorsze. Lasu coraz mniej, ludności i bydła potrzebującego paszy coraz więcej. Nietylko wysokopienne lasy w obrębie Tatr szczupleją coraz więcej, ale już i kosodrzewina nie ostoi się i coraz mniejsze zajmuje przestrzenie. Bardzo wiele spali się w licznych sałaszach; jeszcze więcej wyrębują, a nawet wypalają juhasy umyślnie dla rozszerzenia pastwisk. Który z czytelników niniejszych zapisków był w Tatrach nowotarskich, niechaj sobie przypomni halę Królową, Magurę zakopiańskich, okolicę Stawów Gąsienicowych od strony zachodniej i południowej, halę Pyszną i Ornak, całe otoczenie Klina starorobociańskiego po stronie naszej i liptowskiej, niechaj wyjdzie na Kominy i t. d., a zbuduje się obrazem tej gospodarki krótkowidzącej. Na hali Kondratowej przed kilku laty (1867) było nawet można widzieć w stosy ustawioną zrąbaną kosodrzewinę, a zdziwionemu tak dalece posuniętą zabiegliwością gospodarską właściciela mówiono, że kosodrzewinę wyrębuje na sprzedaż. Lud nasz nie rozumiał i nie rozumie tego, że większy pożytek z mniejszej bądź roli, bądź łąki lub pastwiska, ale starannie utrzymywanych i obrabianych niż z przestrzeni wielkich tej samej jakości, po poniewierce ludzkiej do uprawienia boskiej zostawionych opatrzności, która snać nie zawsze skłonna wynagradzać głupotę ludzką; nie rozumiał i nie rozumie tego, że większa jest korzyść z mniejszej ilości bydła doborowego i starannie pielęgnowanego, niż z licznych stad kocich. Góral nie czyni tu wyjątku, tem mniej, iż jest biedny i chciwy. Że Tatry obfitują w wodę i kamienie, to przyzna ten nawet, który tam nigdy nie był; ale że nie obfitują w nabiał, o tem wiedzą najlepiej ci, którzy tam byli lub bywają. Prawda, że wyrębywanie kosodrzewiny rozszerza granice pastwisk halskich; ale i to prawda, iż co tu człowiek z jednej strony przyrodzie niegodziwym wydziera sposobem, to ona z drugiej w trójnasób odbiera tak czule kochającemu ją dziecku, a odbiera ze szkodą nietylko żyjącego pokolenia, lecz Bóg wie, na ile może wieków i ilu pokoleniom. Dosyć zajrzeć do górnych końców dolin tatrzańskich i przypatrzeć się, co tam robią wody, podczas ulewnych lub dłużej trwających deszczów ściekające bądź ze ścian skalistych, bądź z stromych zboczy pozbawionych lasu i kosodrzewiny, które je dawniej okrywały. Ażeby nie chodzić daleko, dosyć zajrzeć w okolicy Zakopanego do doliny Jaworzynki, mianowicie do jej ramienia południowego, lub na polanę Kondracką, albo też do dolinki nad Zmarzłym Stawem pod Granatem, albo do doliny Kamienistej na południe od Kościeliskiej na Liptowie i t. d. Cienka warstewka rzadkiej ziemi rodzajnej na pochyłym calcu skalistym w żaden sposób nie zdoła pochłonąć w siebie większej ilości wody, która rozrzedziwszy ją zbytecznie, uprowadza ją wreszcie wraz z sobą ku dolinom, zasypując mniejszemi i większemi odłamami skał, grubszym i drobniejszym zwirem znaczne przestrzenie pasznistych murawników i łąk górskich, czyli polan. Wąskie i płytkie pod grzbietami żlebki wód w miarę posuwania się na dół stają się coraz szerszemi i głębszemi. Na całym boku zachodnim Koszystej świecą te żleby na kilka mil daleko. Temito gardzielami, u dołu nieraz na kilka sążni szerokiemi, a do dwóch głębokiemi, woda rwąc boki góry, unosi z sobą ku dolinom całe pagóry skała i zasypuje niem u dolnego ujścia położone murawniki znacznych nieraz rozmiarów. A jakkolwiek, gdzie skałe to nie jest grube lub przynajmniej zwirem pomięszane, miejsca te z czasem znowu pokrywać zaczyna roślinność, to jednak i owe zasypywania powtarzają się bezustannie. Jedyną przeciwko takim pustoszeniom pomocą są lasy, a gdzie te ustają lub ostaćby się nie mogły, kozodrzewina.

[1] Leibitz, w sąsiedztwie Kiezmarku.

Innem z pustoszenia lasów i w ogóle roślinności drzewnej wynikającem złem jest zniweczona regularność opadów, tak co do ich każdorazowej ilości, jak co do przemiany dni z opadami, z dniami bez nich, czyli pogodnemi. Na własne uszy słyszałem w Tatrach utyskiwanie na ubytek ryb w rzekach i potokach Podhala, oraz tłumaczenie sobie tego niekorzystnego zjawiska ogólnym ubytkiem wód w rzekach i potokach i powtarzającemi się od czasu do czasu zbyt wielkiemi ich wezbraniami. Atoli że ten ubytek wód w rzekach i potokach tamecznych w lecie i jesieni obok dosyć często zdarzających się zbytecznych wezbrań jest ostatecznym skutkiem nierozważnego niszczenia roślinności drzewnej, tego lud nie pojmuje a nielud pojąć nie chce.

Atoli inną jeszcze przyczyną już nie powiem ubytku, lecz ubóstwa rzek naszych w ryby jest rybna gospodarka ludu, to jest wylęganie w czasie tarła całych wsi mieszkających nad wodami płynącemi, nie aby ryby łowić, lecz aby rzeki z ryb oczyszczać. Widziałem to piękne rybołostwo w Szaflarach pod Tatrami, a widzieć je można na wszystkich rzekach naszych. Do-

dają, że przed dwudziestu latmi proszono się w Szaflarach z łososiami, aby je kupić, a dwudo trzechstopową rybę wówczas za dwie dwudziestówki czyli dzisiejszych 70 centów było można dostać; dziś podczas tarła i równoczesnego rozboju wodnego ryba taka kosztuje 2 złr. w inne czasy do 5 złr. O tym przedmiocie wiele nader pięknych i budujących szczegółów przytoczyćby można; lecz jestem przekonany, żeby się na nic nie przydały. Wracam zatem do zapisków Mauksha o zwierzętach tatrzańskich.

O kunie leśnej czyli smrekówce, jak ją Podhalanie nasi nazywają, opowiada Mauksch, iż na Podtatrzu szedł raz przez młody las świerkowy. Towarzyszący mu chłop spostrzegł smrekówkę przeskakującą z drzewa na drzewo. Udało mu się dosięgnąć jej kijem i strącić z drzewa, poczem tak ją jeszcze potłukł, że leżała wyciągnięta i jak nieżywa na ziemi. Chłop podniósłszy kapelusz, który mu był spadł z głowy, chciał kunę włożyć do torby. Lecz nagle jakby nowem napełniona życiem, zerwała się, dopadła najbliższego drzewa i wnet oprawcy swemu znikła z oczu.

O sarnach i zającach to tylko wspomina Mauksch, że w lasach tatrzańskich nie są liczne. Dodać tutaj mogę, że Józef Krzeptowski z Zakopanego, jak mi opowiadano, zabił w Kościeliskach białą sarnę, że się miały zdarzać samice, u Podhalan siutami[1] zwane, z rogami, a bardzo rzadko zające białe z włosem dłuższym niż u zwykłego szaraka i nieco szarym grzbietem.

Kozica[2] na jakie sto lub więcej lat wstecz[3], gdzie chłopi posiadali grunta niepodzielne, wystarczające do ich wyżywienia, nie była rzadką. Widywano stadka[4] z 20—40 sztuk złożone, pasące się spokojnie na swoich pastwiskach lub spoczywające na śniegach. Wówczas tylko szukający złota zapuszczali się w głąb Tatr; wszakże i ci nie szli daleko w górę, uważając, jak to wówczas powszechnie utrzymywano, najwyższe grzbiety i szczyty Tatr za niedostępne. Cała roślinność pokrywająca miejsca równiejsze między turniami, najwyższe grzbiety i odległe doliny, dokąd nie wypędzono bydła, pozostawała dla kozic. Prawie jedynemi ich nieprzyjaciółmi wówczas były orły[5]; ludzie rzadko je niepokoili.

Lecz już za życia Mauksha rzeczy znacznej uległy zmianie. Chciwość i namiętność nie umiejąca i nie chcąca niczego uszanować spiknęły się na zgubę kozic. Po wsiach położonych u stóp Tatr potworzyły się towarzystwa kłusowników, wykonujących spólnie rzemiosło swoje i dzielących się otrzymanym za łup zyskiem. Tato szajka ludzi jest tak niebezpieczną dla kozic, że te zwierzęta za niedługo zarówno wyginą, jak znikły jelenie lub koziorożce[6], które tutaj także kiedyś przebywały, jeżeli podaniom starych ludzi wierzyć można. Niebezpieczeństwa połączone z kłusownictwem wcale nie odstraszają kłusowników. Są to ludzi bez serca, bez czucia,

[1] Szuty według Lindego na Ukrainie tyle co bezrogi. W czeskiem szuta oznacza kozę bez rogów.
[2] Podhalanie nasi kozą ją tylko nazywają.
[3] Mauksch zmarły 1832 r. powiada przed ośmdziesięciu blisko latmi.
[4] Kierdelkiem Podhalanie stadka zowią.
[5] Przedni *(Aquila fulva)* i zys (*A. chrysaetos*).
[6] Czyby ten niedorzeczny wyraz nie dał się zastąpić innym? W sławnych z zmyślań Dra T. Tripplina „Wycieczkach po stokach galicyjskich i węgierskich Tatrów“ (sic) 2. 123 jest wyraz skalnica w zwrocie: „Uganiając się za dziką kozą karpacką, ostrożną i szybką jak skalnica alpejska.“ Czy Tripplin miał tu, na myśli koziorożca, nie wiem, używa on bowiem także wyrazu koziorożec. Lecz czemże mogłaby być ta skalnica alpejska, do której tutaj przyrównano kozicę?

bez sumienia, a zatem i bez zawrotu głowy. Jeden z tego cechu, przewodnik Mauksha, pokazał mu ciągnący się w znacznej wysokości wzdłuż prawie prostopadłej ściany zaledwie na dwie stopy szeroki odstęp. Tam zaprowadził raz go czart, jak się sam wyraził. Posuwającego się z wielką biedą wzdłuż ściany napadła burza z gradem. Aby nie zostać zmiecionym ztamtąd przez wicher, nie pozostało mu nic, jak uklęknąć i oprzeć się kolanami i dłońmi o wąską podstawę dla utrzymania się na niej. Grad tymczasem uczciwcowi czesał porządnie grzbiet, którego tylko gruby sukienny kaftan jako tako ochraniał. W tem nader niebezpiecznem położeniu przetrwał niemal dziesięć minut. Mauksch przedstawił mu, że to była kara boża za zuchwałe narażanie życia z zapomnieniem o żonie i dzieciach. Kłusownik przyrzekł poprawę, lecz Mauksch wyznaje, że nie wierzył w rzetelność i dotrzymanie tego przyrzeczenia.

Zdarza się, że kłusownicy trzy do czterech dni bawią w turniach. Wówczas zabraknie im często żywności. Czatują tedy na świstaka a gdy go nie mogą dostać, uciekają się do rzeżuchy, a szczególniej do kozłowca[1], którego korzeń ma mieć smak przyjemny, podobny do marchwi, a przytem zdaniem pasterzy i kłusowników zabezpieczać od zawrotu głowy i dodawać odwagi w miejscach niebezpiecznych.

Na zawrotnych szczytach swoich kozice od reszty świata zwierzęcego są zupełnie odłączone; żadne zwierzę czworonożne, ani świstak nawet, nie zajrzy do ich dzielnicy. W cichem, samotnem ustroniu swojem nic nie znają prócz skał swoich, śniegu, szumu wody i świstu wichru. Pożywienia szukają sobie na stromych, skąpą roślinnością pokrytych upłazkach pod nagiemi grzbietami. Tam znajdują wonne zioła alpejskie, w których sobie lubują, a dopóki im tych dostaje, nie schodzą na bujniejsze pastwiska w dolinach, tak jak pasące się tutaj bydło nie idzie ku nim w górę. Zresztą jedynie kozy swojskie byłyby zdatnemi do tego; jakoż zdarzało się rzeczywiście, że niektóre z tego ciekawego, lekkonogiego rodu, umknąwszy dozorcom swoim, wyszły aż na szczyt sławkowski, gdzie, widać, bardzo im się podobało i zkąd je z biedą było można sprowadzić. Najadłszy się, kładą się kozice w cieniu skał swoich, a gdy ciepło, na płatach śniegu i odpoczywają, aż je znowu głód zmusi do powrotu na pastwiska swoje lub też potrzeba ruchu wiedzie ku szczytom. Bezpiecznie mogłyby tutaj pędzić niewinny żywot swój i w końcu spokojnie umierać, gdyby — nie było człowieka.

Skoro w zimie śnieg pokryje szczyty, posuwają się kozice zwolna na dół, naprzód do kosodrzewiny, gdzie dopóty zostają, dopóki zawsze zielone liście niektórych roślin, jak np. kuklika górskiego[2] zpod śniegu wygrzebać zdołają. Gdy już tego nie mogą, spuszczają się ku lasom, żywiąc się tutaj porostami pokrywającemi obficie pnie drzew. Tu też mają spokój, bo głęboki śnieg nie dopuszcza ku nim człowieka.

Mauksch wspomina dalej, że nieraz widział młode koziczki w niewoli, że chowane w pokoju łatwo się oswajają i dają się pieścić dzieciom i kobietom, bo też zazwyczaj mięciuchna i lekka ręka kobiety i serce czulsze, a w oku i całem obliczu łagodność i miłość i litość, u mężczyzn do wyjątkowych należąca przymiotów. Atoli samym sobie zostawione nie pozostają na ziemi, tj. na podłodze, lecz wyskakują na stołki i stoły, szafy i piece, a dostawszy się na najwyższe w pokoju miejsce, jeszcze tęsknem okiem spoglądają w górę. Zazwyczaj umierają, nim się nauczą jeść trawę, prawdopodobnie[1] dla braku pokarmu matczynego a trawa rosnąca na gruncie nawożonym jest im wstrętna[2]. Możeby się dały uchować, gdyby je przysadzono do kozy swojskiej a potem z owcami lub młodemi kozami wypuszczano na paszę górską[3]. Wątpi jednak Mauksch, ażeby w takim wypadku powróciły do domu.

[1] *Aronicum Clusii* Koch.
[2] *Geum montanum* L.

Tyle jest zapisków Mauksha o kozicy. Ciekawi dokładniejszych wiadomości o tem pięknem zwierzęciu, o tej prawdziwej ozdobie Tatr, znajdą je w monografii Dra M. Nowickiego[4] Dodamy tutaj kilka szczegółów, które na moich przechadzkach po Tatrach nowotarskich od ludu słyszałem. Mam je za prawdziwe gdyż niektóre z nich zupełnie w ten sam sposób jak mnie innym także opowiadano zwiedzaczom Tatr.

(C. d. n.)

FRANCJA DZISIEJSZA

POD WZGLĘDEM LITERACKIM I ARTYSTYCZNYM.

Rzecz dla „Tygodnia“ napisana

przez

L. PICARD'A.

(Ciąg dalszy.)

VI.

TEATR.

Jeżeli Oktaw Feuillet w sztukach swych wchodzi na katedrę, to Aleksander Dumas syn na współczesnej scenie umieszcza kliniczny stół marmurowy. Autor ten bierze skalpel, wystawia trupa społecznego i kraje go jak mięso. Pod pozorem malowania namiętności zadowalnia on tylko bardzo gruby apetyt. Dumas jest jednocześnie delikatny i brudny. Wykłada on prawie medyczny kurs występków. Odnowiciel, apostoł niemal, sądzi że zajmuje się największemi interesami ludzkości. Dziwna i nowa teorja. Pomimo to Dumas syn posiada dar najcenniejszy dla autora dramatycznego. Kompozycja jego jest jasna, akcja dobrze prowadzona i wzruszająca. Wystąpił on najpierwej z „Damą kameliową,“ w której przedstawił rehabilitację kobiety upadłej przez miłość. Wprowadził w modę zapalenie płuc. W owym czasie cały Paryż kaszlał i miał bladaczkę. W Demi monde Dumas odkrywa i maluje klasę specjalną społeczności i umieszcza

[1] Rzeczywiście tak, prócz tego dla braku powietrza, opieki matki, z tęsknoty za nią i za utraconą wolnością i swobodą.
[2] Toż i koza swojska nie będzie się pasła na łące znawożonej gnojem, zlewanej gnojówką, w ogóle czembądź zanieczyszczonej.
[3] W Szwajcarji wychowują czasem młode koziczki naprzód koziem mlekiem, potem młodą trawką i innemi roślinkami, także ogrodowizną i chlebem. Lubią się bawić z kózkami, idą za panem bez wstrętu i bojaźni, zgadzają się z psami i nawet od obcych biorą pożywienie. W miejscu w którem się je trzyma, lubią mieć spiętrzone skałki, na które wchodzą. W zimie nie znoszą ciepłego łoża, najwygodniej im pod daszkiem na wolnem powietrzu. Atoli najtroskliwiej chowane nie stają się ani tak silnemi ani nie żyją tak długo jak na wolności. Czasem odzywa się w nich wrodzona dzikość, a wówczas obcych bodą. Stare kozice schwycone pozostają zawsze bojaźliwemi i zawsze gotowemi są do ucieczki, skoro się kto zbliża do nich. *Tschudi, Das Thierleben der Alpenwelt.* 321. Mauksch mylnie mniema, że może nikomu jeszcze nie udało się schwycić starej kozicy bez uszkodzenia jej.
[4] Kozica. Kraków, 1868.

ją obok innych. Klasę tę określa on tak: „Świat ten zaczyna się tam, gdzie się kończy małżonek legalny, a kończy tam, gdzie się zaczyna sprzedajna żona.

Ale dajmy pokój dawniejszemu Aleks. Dumas synowi. W ostatnich czasach zrobił on skandal. W sztuce *La femme de Claude* podniósł na nowo zdanie starego Katona, że „mąż jest sędzią żony; jeżeli ta popełniła błąd, on ją karze; jeżeli miała stosunki z innym mężczyzną, zabija.“ *La femme de Claude*, sztuka dość licha, rozwija na scenie takie założenie, na które autor wskazał był już przedtem w broszurce *L' homme-femme*. Jest to prawo karania śmiercią żony występnej. Broszura ta zajęła na chwilę cały Paryż. Niedawne skandale sprawiły, że znalazła się bardzo na czasie. Powstała polemika, spierano się namiętnie, Peliony broszur posypały się na Ossy książek — i nie dowiedziono nic. Dumas mówił: „Zabij ją!“ Inni mówili: „Przebacz!“ Nie jeden proces o separację nastąpił z tego powodu.

Ostatnią, najnowszą sztuką Dumasa syna jest *Monsieur Alphonse*. Autor wyprowadził na scenę osobistość niepodobną do odcechowania, zamykającą oczy na bezładne życie żony, byle to pewien zysk przyniosło. Oburzająca ta sztuka miała wielkie powodzenie.

Tak więc Dumas wyprowadza na scenę to mezalians mieszczański XIX. wieku, to typy o dziwnych obyczajach, których właściwsze miejsce byłoby w urzędzie policji poprawczej, a nie na scenie francuskiej, to rehabilituje kurtyzantkę. Szczególna to moralność, rozwijąca złe odsłaniając je.

Pomówmy o autorach najnowszych. Pomiędzy nimi wymienić można Edwarda Pailleron, jako przynoszącego zaszczyt scenie francuskiej. Autor ten wyszedł ze szkoły Augiera, ma chwile poetyczne, wiele satyrycznego zacięcia i doskonale włada djalogiem. Sztuki jego *Le faux ménage* i *L'autre motif* znajdują się w repertoarze Teatru francuskiego.

Gondinet pochlebia nieco słabościom epoki. W ostatniej swej sztuce *Christiane*, wyprowadza na scenę kochanka, zaprzeczającego mężowi prawa nie do żony, która umarła, ale do dziecięcia, którego jest rzeczywistym ojcem. Takie ojcowskie przywileje kochanka także stanowią część dzisiejszego wyrafinowanego kodeksu współczesnego.

Talent prawdziwie paryski posiada Henryk Meilhac. Sztuka jego *Fru-fru*, przedstawiana w teatrze Gymnase przepełniona jest uczuciem i delikatnemi sentymentami. W „Teatrze francuskim“ wystawił on dramat *Nany*. Meilhac wiele okazał zdolności na rozmaitych scenach paryskich w małych wodewilach i operetkach. Był on współpracownikiem Offenbacha, któremu dostarczał najoryginalniejsze libretta. Można mu zarzucić, iż zanadto bez ceremonji obchodzi się z Homerem. Akademia i Instytut podskoczyły na swych fotelach, gdy w „Pięknej Helenie“ wyprowadził Parysa w kołnierzyku, a Menelausa z parasolem czerwonym. Ale jest to wina Skarrona, który na długo przedtem trawestował Wirgiliusza. Oprócz powodzenia swego jako muzyka, „Wielka Księżna Gerolstein“ podobała się jako libretto. Ta karykatura małego dworu niemieckiego ze swymi dyplomatami, dworakami i drobną armją, podobała się publiczności, upatrującej wszędzie alluzje.

Teatr francuski posiada jeszcze wiele gwiazd drugiej wielkości, których wyliczenie byłoby zbyt długiem. Poprzestaję na wyliczeniu przodujących.

Czy sztuka dramatyczna francuska upadła? Ta sztuka, jedna z propagatorek współczesnego gruntu, czy zagubiła ślad wskazany jej przez Kornela, Moliera i Wiktora Hugo? Trudno stanowczo o tem orzekać. Ten rodzaj, tak przeważnie francuski, nie stracił swej płodności, ale zbacza z toru szukając powodzenia na drogach niebezpiecznych. W końcu cesarstwa teatr począł eksploatować, tak jak i romans, chorobliwe wzruszenia sądów kryminalnych. Sprawę, która nawet przez trybunał sądzoną była przy drzwiach zamkniętych, cynicznie wyprowadzano na scenę francuską. Gdzieindziej znowu teatr, jak Balzak, analizuje życie i zepsucie społeczności francuskiej, nie mając jednak znaczenia spartańskiego pijanego niewolnika, to jest nie nawracając na dobrą drogę zbłąkanych. *Castigat ridendo mores*, mówi stare zdanie; we Francji śmieją się, ale nie poprawiają. Na jednej scenie występuje muzykalna parodja starożytności i historji, na drugiej ułomności, na trzeciej nacechowane idiotyzmem, a w formie świetne, sztuki czarodziejskie, nie szczytne, jak „Burza“ Szekspira, ale służące na ekshibicję kobiet, jak *Pied de Mouton*.

Czy należy rozpaczać? Czy gust podupadł? Czy zdarzy się to co i w starożytności, że po oklaskach dawanych Sofoklesowi i Eurypidesowi drażniono zepsuty apetyt walkami gladjatorów? Przyszłość to pokaże. Francji, tak ciężko doświadczonej, brak czci dla szczytności, która wytwarza zamiłowanie piękna. Nędzne waśnie stronnictw, zawiść, konserwatyzm, tłumiąc wolność, zabijają sztukę.

C. d. n.

FAUST.

Nowella rossyjska w dziewięciu listach

Jwana Turgeniewa

przełożył J. Pł......

„Entbehren sollst du, sollst entbehren.“
Fausta część I.

(*Ciąg dalszy*).

LIST VII.

(Paweł Aleksandrowicz B. do Szymona Mikołajewicza W.)

Wieś M.... 22. sierpnia 1850.

Dziesięć dni minęło od ostatniego mojego listu. O przyjacielu kochany! nie mogę już dłużej milczeć, jak ciężko mi na sercu, jak ja ją kocham! Domyślisz się z jakiem drżeniem boleśnem kreślę to złowrogie słowo. Nie jestem już więcej dzieckiem, ani młodzieniaszkiem i nie jestem już w tym wieku, kiedy niepodobieństwem jest prawie podejść kogo innego, a w którym tak łatwo mami się samego siebie. Wiem wszystko i widzę wszystko. Wiem, że po tem nieszczęsnem uczuciu, jakie mnie opanowało, prócz tajemnych katuszy, które strawią serce i wycieńczą we mnie wszystką siłę żywotną, nie mam się niczego więcej spodziewać. Wiem, wszystko to wiem; nie mam żadnej nadziei, żadnej otuchy, a jednak w tej rezygnacji nie znajduję pociechy ani ulgi. Już od czterech tygodni zauważyłem, że uczucie moje dla Wiery z każdym dniem wzrasta — to mnie przejmowało niepokojem zarazem i radością. Lecz mógłem-że się spodziewać, że raz jeszcze opanuje mnie ta namiętność, która zwykle tak samo jak młodość — mija, ażeby już nigdy więcej nie wrócić? Lecz co mówię! Tak nigdym jeszcze nie kochał... nigdy, nigdy! Bóstwami mojemi były Manon Lescaut i Fretillon... takie bóstwa łatwo się kruszą. Lecz dziś, dziś dopiero poznaję, co to jest, kochać kobietę. Wstyd mi... miłość jest samolubstwem, a w moim wieku samolubstwo jest już nie do przebaczenia. Kto ma lat 37, temu już więcej nie wolno żyć dla siebie samego. Wtedy trzeba się stać pożytecznym, trzeba mieć cel jakiś, powołanie, obowiązek. I ja począłem się oddawać pracy poważnej, lecz przedsięwzięcia moje z wiatrem się rozwiały. Przypominam sobie teraz, com ci w pierwszym moim liście napisał: powiedziałem, że mi brak czegoś nieokreślonego, czegom nigdy jeszcze nie doznał, — i jak niespodzianie spadł ten grom na moją głowę!... I oto stoję dziś niemy i wlepiam wzrok duszy w przyszłość nieodgadnioną, którą gęsta zasłona przedemną zakrywa. Ciężko mi w duszy i posępno. Na pozór usiłuję przed sobą samym i w obec drugich zachować spokój, umiem panować nad sobą, nie zachowuję się jak dzieciuch, lecz tam w głębi serca siedzi robak i toczy mi serce dzień i noc, noc i dzień. Jak się to skończy? Dotychczas byłem smutny i niespokojny wówczas tylko gdym zdala był od niej... obecność jej uspokajała mnie. Teraz już i w jej obecności niepokój mnie dręczy, i to mnie właśnie przeraża. O przyjacielu mój, jak to trudno i ciężko, wstydzić się łez własnych i być zmuszonym je ukrywać! Za młodu tylko wolno nam płakać... młodym tylko dozwolone są łzy...

Niepodobna mi list ten odczytać... on mi z serca wypłynął, jak westchnienie; nic więcej dodać, nic ci opowiedzieć nie umiem... zostaw mi trochę czasu! Przyjdę do siebie, pokonam się i znów będę mówił do ciebie jak mężczyzna. Dziś radbym tylko skłonić głowę na piersi twoje i....

O Mefistofelu! i ty mi dziś nie pomożesz. Przerwałem sam sobie umyślnie, umyślnie podrażniłem w sobie żyłkę satyry i ironji; sam sobie wystawiałem, jak śmiesznemi jak niesmacznemi wydadzą mi się te skargi miłosne, i te wylewy sercowe po roku, a może już nawet po pół roku... wszystko daremnie! Mefista moc osłabła, stępiał ząb jego... Bywaj zdrów.

Twój P. B.

LIST VIII.

(Ten sam do tegoż samego.)

Wieś M.... 8. września 1850.

Najukochańszy przyjacielu!

Nadtoś wziął sobie do serca mój list ostatni, kochany Szymonie Mikołajewiczu. Wszak wiesz, że zawsze byłem skłonny przesadzać moje uczucia. Dzieje się to mimowoli... mam w mej naturze coś niewieściego, co z pewnością minie z latami. Do dziś dnia, przyznaję to z westchnieniem, nie potrafiłem jeszcze pokonać w sobie tej słabości. Ale uspokój się! Nie zaprzeczam, że Wiera sprawiła na mnie pewne wrażenie, lecz powtarzam ci raz jeszcze: nie ma w tem nic nadzwyczajnego. Piszesz mi, że chcesz tutaj przyjechać... daj temu pokój. Niedorzecznością by było jechać 1000 wiorst, Bóg wie poco; ale z serca ci wdzięczny jestem za ten nowy dowód przyjaźni i nie zapomnę go nigdy... wierzaj mi. Przyjazd twój byłby tem bardziej niepotrzebny, że ja sam wybieram się wkrótce do Petersburga. Tam, siedząc na kanapie obok ciebie, wiele ci rzeczy opowiem... teraz nie mogę i nie chcę! Byłbym może w stanie nagadać ci znów mnóstwo banialuk. Przed wyjazdem ztąd napiszę raz jeszcze do ciebie; a zatem do widzenia, wkrótce. Bądź zdrów i wesół i nie troszcz się o los Twojego szczerze Cię kochającego

P. B.

LIST IX.

(Ten sam do tegoż samego).

Wieś P... 10. marca 1853.

Długo nie odpowiadałem na twój list, ale przez cały ten czas ustawicznie nad nim myślałem i czuję, że nie podyktowała ci go próżna ciekawość, lecz prawdziwe, przyjacielskie współczucie. Mimo to wahałem się, czy mam pójść za twoją radą, spełnić twoje życzenie. W końcu jednak zdecydowałem się i opowiem ci wszystko. Czy mi ta spowiedź, jak sądzisz, ulgę przyniesie, nie wiem; ale zdaje mi się, że nie mam prawa zatajać przed tobą tego, co życie moje do gruntu zmieniło. Wydaje mi się, że byłoby to z mej strony grzechem względem ciebie... ach! i stokroć większym jeszcze grzechem względem tej nigdy niezapomnianej, ukochanej duszy, gdybym nie powierzył tajemnicy naszej jedynemu sercu, które mi jeszcze drogie jest na ziemi. Prócz mnie, ty może jeden na świecie pamiętasz jeszcze o Wierze a może właśnie sądzisz ją powierzchownie i fałszywie. Tego nie zniosę i dlatego musisz o wszystkiem wiedzieć. Ach! w dwóch słowach dałoby się to wszystko pomieścić, bo to, co między nami zaszło, spadło na nas raptownie jak grom, i jak grom przyniosło śmierć i zniszczenie.

Dwa lata upłynęło od chwili, kiedym ją stracił, od chwili, gdym się zamknął w tej pustelni, której już nie opuszczę do końca życia mojego, a wszystko jeszcze tak żywo tkwi mi w pamięci, a tak świeże są jeszcze rany moje, tak gorzki ból mój i smutek... lecz precz ze skargami! U drugich ludzi, być może, że spowiedź taka, która ból rozdrażnia, koi go zarazem... u mnie nie! a teraz słuchaj.

Przypominasz sobie mój list ostatni? ten list, w którym usiłowałem rozproszyć twoje obawy i odradzałem ci wyjazd z Petersburga? Tyś nie ufał w sztucznie udany mój spokój, nie wierzyłeś w bliskie widzenie się ze mną... i miałeś słuszność. W wilję tego dnia, w którym pisałem do ciebie, dowiedziałem się, żem był kochany.

Pisząc te słowa, czuję, jak trudno mi będzie zakończyć tę spowiedź... myśl o jej śmierci podwójnem brzemieniem nademną zaciąży... wspomnienia te przetrawią mi serce. Lecz spróbuję przezwyciężyć się i raczej przestanę pisać, niżlibym miał jedno słowo zbyteczne powiedzieć.

Posłuchaj, jakim sposobem dowiedziałem się, że mnie Wiera kochała. Przedewszystkiem muszę ci powiedzieć, a ty mi pewnie uwierzysz, że aż do tej chwili nie domyślałem się cienia czegoś podobnego. Zastawałem ją wprawdzie od czasu do czasu, wbrew jej zwyczajowi, zamyśloną lub roztargnioną, lecz nie wiedziałem przyczyny tego. Wreszcie pewnego dnia — było to 7. września, dzień pamiętny dla mnie na zawsze — stała się rzecz następująca. Wiesz, jak ja ją kochałem i jak mnie ta miłość dręczyła. Snułem się wszędzie jak cień, nigdziem nie znajdował spokoju, chciałem zostać w domu, lecz nie mogłem i pospieszyłem do niej. Zastałem ją w jej gabinecie. Prijimkowa nie było w domu: wyszedł na polowanie. Gdym się zbliżył do Wiery, wlepiła wzrok we mnie, nie odpowiadając na moje powitanie. Siedziała przy oknie i trzymała na kolanach książkę, którą poznałem na pierwszy rzut oka — był to mój „Faust.“ W twarzy jej przebijało się znużenie. Usiadłem naprzeciwko niej; prosiła mnie, ażebym jej przeczytał ową scenę między Faustem a Małgosią, w której go pyta Małgosia, czyli wierzy w Boga. Wziąłem książkę do ręki i czytałem. Skończywszy, podniosłem wzrok na nią. Oparła główkę na poręczy krzesła, skrzyżowała ręce na piersiach i nie spuszczała ze mnie wzroku.

Nie wiem dlaczego, zaczęło mi nagle serce bić gwałtownie.

— Cóżeś pan ze mnie uczynił! rzekła po chwili, urywanym, cichym głosem.

— Jakto? zapytałem zmięszany.

— Cóżeś pan ze mnie uczynił! powtórzyła raz jeszcze.

— Chcesz pani powiedzieć, dlaczegom panią namówił do czytania podobnych książek? zapytałem.

Wstała milcząca i postąpiła ku drzwiom.. ja za nią wiodłem wciąż wzrokiem.

Na progu zatrzymała się i zwróciła się ku mnie.

— Kocham pana, rzekła; teraz już wiesz pan, coś ze mnie uczynił?

Krew mi skoczyła do skroni.

— Kocham pana... tak, k o c h a m cię! powtórzyła Wiera, potem wyszła i zamknęła drzwi za sobą. Nie będę ci opisywał, co się wówczas ze mną działo. Przypominam sobie tylko, żem jak szalony pobiegł do ogrodu, wpadłem w krzaki i zarośla, oparłem głowę o jakieś drzewo i stałem tak... jak długo, sam nie wiem. Byłem jakby skamieniały, a przytem dziwna jakaś nieopisana roskosz rozlała mi się po całem sercu. Nie, takie rzeczy nie dadzą się opowiedzieć. W końcu zbudził mnie z tej zadumy głos Prijimkowa. Doniesiono mu o moim przyjeździe, wrócił z polowania, szukał mnie wszędzie, zdumiał się, znalazłszy mnie w ogrodzie bez kapelusza i odprowadził mnie do domu.—Żona moja jest w salonie, rzekł do mnie; pójdziemy do niej. Domyślasz się z jakiemi wrażeniami przekraczałem próg salonu. Wiera siedziała przy krosnach. Spoglądałem na nią kilka razy ukradkiem, ku zdziwieniu mojemu była na pozór spokojną i ani w tem, co mówiła, ani też w głosie nie zdradzała najmniejszego wzruszenia. Wreszcie postanowiłem otwarcie na nią popatrzeć. Zarumieniła się z lekka i pochyliła się nad krosnami. Przypatrywałem się jej uważnie... niepewność jakaś przebijała się w niej całej, od czasu do czasu zabłąkał się na jej usta posępny uśmiech. Wreszcie odszedł Prijimkow. Wtedy podniosła głowę i spytała mnie dość pewnym głosem:

— Cóż pan teraz czynić zamyślasz?

Pytanie to zmięszało mnie, lecz przyszedłszy w jednej chwili do siebie, odparłem stłumionym głosem: „Postąpię sobie jak człowiek uczciwy i odjadę, bo ja cię kocham, Wiero Mikołajewno, musiałaś to już dawno spostrzedz.“

Nachyliła się znów nad krosnami i wpadła w zadumę.

— Muszę z panem pomówić, rzekła wreszcie. Dziś w wieczór po herbacie przyjdź pan do pawilonu, gdzieśmy czytali Fausta.

Powiedziała to tak głośno, że nie pojmuję dotychczas, jak mógł Prijimkow, który w tej chwili właśnie wszedł do salonu, nie usłyszeć tego. Ach, jak powolnie, z jaką okrutną ślimaczą powolnością wlókł się cały ten dzień! Czasem spoglądała na mnie Wiera z takim wyrazem twarzy, jak gdyby mnie chciała zapytać: nie sen-że to? Lecz twarz jej wyrażała przytem silne, niezłomne postanowienie. A ja... ja nie mogłem przyjść do siebie! Wiera mnie kocha! te słowa nieustannie wirowały mi w mózgu... lecz nie mogłem pojąć ich znaczenia, nie mogłem pojąć sam siebie, ani Wiery i nie miałem odwagi wierzyć w to nagłe, niespodziewane, przygniatające mnie swym ogromem szczęście. Z natężeniem przywoływałem sobie na pamięć wszystko co się stało a wyglądałem i mówiłem jak we śnie.

Po herbacie, gdym się już zaczął dręczyć myślą, jakimby sposobem wykraść się z domu, oświadczyła nagle Wiera, że chce się przejść i wezwała mnie, abym jej towarzyszył. Wstałem, wziąłem kapelusz i wyszedłem z nią do ogrodu. Nie śmiałem przemówić, zaledwie oddychałem, oczekiwałem z jej ust pierwszego słowa — oczekiwałem jakiegoś oświadczenia, ale ona milczała. W milczeniu doszliśmy aż do chińskiego pawilonu, w milczeniu weszliśmy do środka, i tam — nie wiem dotychczas i nie pojmuję jak się to stało — rzuciliśmy się sobie nagle w objęcia. Jakaś potęga tajemnicza porwała mnie ku niej, a ją ku mnie. Na twarz jej z kędziorami w tył spływającemi, padał ostatni blask dnia zachodzącego — twarz jej jaśniała uśmiechem słodkiego upojenia a usta nasze zwarły się z sobą w gorący pocałunek.

Pocałunek ten był pierwszy i ostatni.

Nagle wydarła się Wiera z mych objęć i zatoczyła się w tył z wyrazem przerażenia w szeroko rozwartych źrenicach.

— Obróć się, tam! rzekła drżącym głosem... czy nic nie widzisz?

Odwróciłem się szybko.

— Nic... a ty, czy widzisz co?

— Teraz już nie... ale widziałam...

Odetchnęła ciężko.

— Kogo? co widziałaś?

— Matkę moją! rzekła cicho, i drżąc na całem ciele.

I ja zadrżałem w tej chwili jakby mnie mróz przejął do szpiku. Ciężko mi się zrobiło na duszy, jak zbrodniarzowi. Nie był-żem nim w tej chwili?

— Proszę cię, przestań, odrzekłem na to. Co to ma być... powiedz mi raczej...

— Nie, na miłość Boga, nie! przerwała mi, chwytając się obiema rękami za głowę. To warjacja... ja rozum tracę... z tem nie ma co żartować... to śmierć... Bywaj zdrów!

Uchwyciłem jej rękę.

— Zostań przez Boga chwilkę jeszcze! zawołałem w namiętnem wzruszeniu. Nie wiedziałem co mówię, ledwie się trzymałem na nogach. Przez Boga, to okrutnie...

— Jutro, jutro wieczór, odrzekła spiesznie. Dziś nie, błagam cię, dziś nie. Odjedź dzisiaj do domu... ale jutro wieczór bądź przy furtce ogrodowej nad jeziorem. Ja tam przyjdę... przyjdę tam, przysięgam ci, że przyjdę! powtarzała z namiętnym wyrazem a oczy jej jaśniały, nikt mnie nie wstrzyma... przysięgam ci! Wtedy powiem ci wszystko... ale dziś opuść mnie. I zanim zdołałem odrzec słowo, zniknęła.

Zostałem sam w najgłębszem wzruszeniu i rozterce ducha. W głowie mi się kręciło. Do szału uniesienia, jaki napełniał całą istotę moją, przymięszał się lęk jakiś nieopisany. Oglądałem się w około: ponury, wilgotny pawilon z niską powałą i ciemnemi ścianami przejął mnie niemiłem wrażeniem.

Wyszedłem z pawilonu i ciężkim krokiem podążyłem ku domowi. Wiera stała na terasie, lecz, kiedym się zbliżył, znikła i dowiedziałem się, że się zamknęła w swej sypialni. Odjechałem do domu.

Jak przepędziłem tę noc i następny dzień aż do wieczora, opisać się nie da. Wiem tylko,

że leżałem cisnąc twarz w obie dłonie, przywoływałem do mej wyobraźni ów roskoszny uśmiech Wiery przed pocałunkiem i szeptałem: otóż i ona!

Przypomniałem sobie słowa pani Elzow, które słyszałem od Wiery. — Ty jesteś jak lód, rzekła raz do córki; dopóki nie topnieje, twardy jest jak kamień — a gdy raz zacznie topnieć, to i śladu z ciebie nie zostanie. I jeszcze jedno przypomniałem sobie. Rozmawiałem raz z Wierą o tem, co jest zdolność a co talent.

— Ja posiadam jeden tylko talent, rzekła wówczas, to jest: milczeć aż do ostatniej chwili.

Wtedy nie rozumiałem tego.

Lecz cóż znaczyło jej przerażenie? zapytałem sam siebie. Miałażby istotnie ujrzeć panią Elzow? To tylko jest płód wyobraźni, odpowiadałem i zapadałem na nowo w drżący stan oczekiwania.

Tego samego dnia — przykre to dla mnie wspomnienie — napisałem był do ciebie ów list dyplomatyczny. (Dok. nast.)

PAMIĘTNIKI z r. 1831,

Ignacego hr. Komorowskiego.

Korpus Umińskiego.

(Ciąg dalszy.)

Działa nasze odstrzeliwały się nieskutecznie tej pozycyjnej baterji; nareszcie widząc że mogą być od mostu odcięte pojechały na groblę — żeby za nią na pozycji stanąć. *Sauve qui peut* było ogromne. Jedni pod strzałami i pałaszami dragonów cisnęli się na most, drudzy nie wiedząc o błotnistej głębokiej rzeczce na prawo, w tamtą stronę parci uciekali, i rzucając się w pław, po większej części potonęli lub byli zabrani.

Zmięszana nasza straż tylna z dragonami wpadła na mostek, co przeszkodziło spaleniu go. Zostaliśmy tedy, ścigani przez nieprzyjaciela, bez żadnej przeszkody. Bylibyśmy zapewne całkiem rozbici, gdyby zmęczenie koni nieprzyjacielskich pozwoliło było na ruch dalszy.

Przy grobli Moskale się zatrzymać musieli, dla wypoczynku, my zaś dalej ku Lipskowi szybko postępowaliśmy. Wołyńce kapitana Różyckiego i dywizjon Bohdanowicza z 4. działami straż tylną formowali.

Zbliżywszy się do Lipska, miasteczka otoczonego pagórkami, z których można było widzieć, że nas nikt nie goni, stanęliśmy na pozycji oczekując nieprzyjaciela. Ledóchowski z kilku bataljonami młodej piechoty z kosami i 3. żelaznemi 3-funtówkami, dostał rozkaz pomaszerowania za miasto, i sformowania się tam między górami. Mnie zaś polecił generał, ażebym się udał na lewo do zabudowań dworskich bardzo porządnych i tam zarekwirował furażu dla koni, bydła albo owiec na żywność, wódki itp.

Zabrawszy z sobą oficera kwatermistrza i wszystkich żandarmów polowych, ruszyliśmy za furażem wraz z furgonami. Dwór ten należał do Matusiewicza, który znakomity piastował urząd w dyplomacji moskiewskiej. Zaprowiantowaliśmy się należycie we wszystko co nam było potrzebne, między innemi wziąłem bardzo piękne skopy. Rządzca tamtejszy mówił mi, że ma rozkaz swego pana, udzielania wszystkiego co jest na gruncie przechodzącemu wojsku. Raptem słyszę przed Lipskiem kanonadę. Dałem rozkaz kwatermistrzowi żeby z furgonami jak najprędzej szedł drogą ku Kunowu, miasteczku już w początku gór leżącemu z dosyć dobrą do obrony pozycją, sam zaś poleciałem w stronę zkąd pochodziły strzały. Z pagórka zobaczyłem postępujące stępo kolumny moskiewskie, a na boku po lewej stronie ustawioną tę samą baterję konną która nas na grobli ostrzeliwała. Nasze działa stały tyłem do miasteczka i odpowiadały gęsto. Przy nich zastałem Różyckiego zajętego strzelaniem tak, żem się od niego nie mógł dowiedzieć żadnego stosownego do okoliczności rozkazu. Puściłem się więc całym pędem konia do miasteczka, gdzie już kule i granaty moskiewskie padały.

Miasteczko stoi na wzgórzu i ztamtąd widok na około pomiędzy górami. Gorąco było dokuczliwe, pić mi się bardzo chciało; przypadłem więc do domostwa żydowskiego, gdzie kilku oficerów piechoty wychodzących jeszcze się pokrzepiało. Kazałem żydowi żeby mi wyniósł co ma pod ręką, a dobrze mu zapłacę. Poleciał żyd blady do domu i wyniósł butelkę wiszniaku, za którą żądał 5 złotych; ponieważ nie miałem drobniejszych pieniędzy tylko banknot na 25 złp. więc w prawej trzymam butelkę a w lewej banknotę, nim mi żyd resztę wyda. Ledwie wrócił z resztą chcąc mi ją wręczyć, granat go rozbił na drobne kawałki. Wypiłem duszkiem wiszniak, a banknotę rzuciwszy desperującym przestraszonym żydówkom, dałem koniowi ostrogi i poleciałem.

Miasteczko już się w paru miejscach zaczęło palić. Wybiegłszy na wzgórze patrzę, że jakaś jazda moskiewska oskrzydlać nas usiłuje; poleciałem więc do Ledóchowskiego stojącego o pół ćwierci mili za miastem, dając mu rozkaz niby od generała, iżby natychmiast zrobił demonstrację ze swoim oddziałem na wzgórzu dominującym przeciw Moskalom postępującym stępo, bo pomimo usiłowań ostróg i nahajki, konie ich tak były pomęczone, że innym krokiem iść nie mogły.

Ledóchowski wypełnił ten rozkaz doskonale, biegiem opanował wzgórze i bataliony swoje w kolumnach do ataku ustawił; przez ten czas te 3 żelazne trzy-funtówki zaczęły strzelać w kolumny moskiewskie. To ich zatrzymało, a bojąc się zapewne spotkania z większemi siłami za górami, zakomenderowali odwrót.

Już i artylerja moskiewska przestała strzelać, i jazda cofnęła się i my też z pozycji zeszedłszy, puściliśmy się drogą do Kunowa. W nocy doszliśmy do bardzo dużej wsi ze dworem, której nazwiska nie pamiętam. Stanął tam obóz i tam można było w nocy opatrzeć kilku oficerów i kilkunastu ludzi rannych, i wysłać ich najprościejszą drogą do Kielc.

Rano ruszył korpus, i koło południa zaszliśmy do Kunowa. Miasteczko to otoczone górami i lasami pozwalało nam wypocząć. Staliśmy tam trzy dni, organizując się, bo nowe oddziały ciągle do nas przybywały. Kunów miasteczko liche stoi między większemi górami od których go przedziela szeroka dolina prawie na około, góry przyległe obrośnięte lasami podrujnowanemi, bo je wycinano na węgle do fabryk żelaznych, co się już od Kunowa zaczynają. Przybywszy tam, na mnie przyszła kolej ustawienia obozu, więc upatrzywszy miejsca stosowne dla grand gardy i pławnuk, uszykowałem cały korpus tak, żeby mógł być zasłonięty od możliwego napadu nieprzyjaciela. Nie było to ostatnie moje wystąpienie w tym dziejowym dramacie — ale akt piąty miał się już ku schyłkowi. Zanim więc przystąpię do dalszej opowieści, pozwólcie odpocząć starcowi, i ze zmęczonej ręki odłożyć na chwilę pióro.

Koniec części pierwszej.

(C. d. n.)

Z za więziennej kraty.

Poezje więźnia stanu z r. 1846.

XI.

Wieczór wielkiej Soboty.

W każdym czasie i miejscu Boga chwalić można
Lecz to mnie smuci, dręczy i boleść pomnaża,
Że modłów wznieść nie mogę u stopni ołtarza:
Lecz i ztąd niewolnika wzleci myśl pobożna.

Ze serca, łez i cierpień racz przyjąć ofiarę
Umęczony za ludzkość Zbawicielu - Boże!
Innej ofiary więzień złożyć Ci nie może...
Ty mu zeszlej nadzieję i krzep jego wiarę.

Tyś w niebie; ale u nas jeszcze leżysz w grobie —
I my w grobie... lecz otóż Zygmunt jęknął stary...
Upadnijmy na twarze — Chrystus zmartwychwstaje!

— Mistrzu! po wszystkie wieki chwała, tryumf Tobie!
Odgłosem: — Alleluja! — brzmią chrześcijan kraje —
A tu głucho... jak w domu nieszczęścia i kary.

IDEALIŚCI,

POWIEŚĆ

JANA LAMA.

Rozdział II.

(Ciąg dalszy.)

Nie skończyłem w poprzednim rozdziale sprawozdania o rozmowie p. Zameckiego z p. Skryptowiczem, z obawy, bym nie naraził czytelnika na takie same rozczarowanie, jakiego doznał p. Tadeusz przy tej sposobności. Rozmowa ta nie miała bowiem na razie najmniejszego rezultatu, z powodu, iż p. Skryptowicz czuł się zbyt znużonym, by mógł rozważyć dokładnie treść odczytanego listu i wyrzec o niej swoje zdanie. Wszystkie zaklęcia p. Zameckiego były bezskutecznemi, przyjaciel jego oświadczył stanowczo, iż ból głowy nie pozwala mu w tej chwili ani czuwać, ani myśleć, i że przed godziną szóstą wieczór żadna potęga fizyczna lub moralna nie byłaby w stanie zniewolić go do tak nadzwyczajnego natężenia. P. Tadeusz nie wiedział, czy ma śmiać się, czy gniewać, w końcu atoli, przyzwyczajony już snać do sposobu życia i zwyczajów p. Karola, pogodził się ze swoim losem i odszedł, otrzymawszy solenną obietnicę, że najpóźniej o godzinie ósmej, p. Skryptowicz pojawi się w restauracji, w której miano wspólnie zjeść wieczerzę, napić się piwa i uradzić, co było do uradzenia. Ten obrót rzeczy sprawił, iż panna Cecylja nie nadaremnie dręczyła uszy całego sąsiedztwa swojemi gamami, podczas gdy panna Wanda nie nadaremnie badała piękności poezji polskiej w książce Cegielskiego, p. Zamecki bowiem, nie mając nic innego do czynienia, poszedł do p. Trzecieszczakiewiczowej i zaraz na wstępie miał sposobność przekonać się, o ile znośniejszym musi być pobyt w domu, w którym kwitnie poezja, od pobytu wśród zagorzałych zwolenników i zwolenniczek fortepianu. P. Trzecieszczakiewiczowa podzielała to zdanie i nie omieszkała opi-

sać tego p. Zameckiemu, jak mocno dziękuje niebiosom, że Wandzia, jej siostrzenica, nie podziela zamiłowania „Cesi“ i „Helenki“ w muzyce, należy bowiem albo grać doskonale, albo wcale nie grać na fortepianie, a lada jakie brząkanie jest nieznośnem i irytującem nerwy. Natychmiast też Wandzia otrzymała polecenie pójść i powiedzieć Cesi „aby już raz dała pokój tym ćwiczeniom.“ Gdy się oddaliła ta młoda osóbka, p. Trzecieszczakiewiczowa jęła zachwycać się nią nad wszelki wyraz, i opowiadać, jakie to jeszcze naiwne, a jakie dobre stworzenie, a jakie młode i potulne jak wosk, z którego wszystko da się ulepić. Wprawdzie jeszcze główka przepełniona poezją, ale to rzecz prawie nieunikniona w tak młodym wieku, i wyszumi to prędko, zwłaszcza gdy wszystkie skłonności Wandzi wskazują, że będzie ona kiedyś bardzo dobrą gospodynią. Nie ma też najmniejszej wątpliwości, że będzie dobrą żoną, chociaż jeszcze za wcześnie myśleć o tem, i w ogóle Wandzia nie prędko wyjdzie za mąż, zważywszy, że nie ma posagu, a w dzisiejszych czasach nikt nie zechce dziewczyny ubogiej, chociażby pięknej, skromnej i starannie wychowanej. P. Trzecieszczakiewiczowa zwierzyła się z tego powodu p. Zameckiemu, jak mocno wyrzuca sobie, iż zmuszoną się widzi wprowadzać swoją siostrzenicę w domy, w których są panny posażne i przyzwyczajone do życia wystawnego i zbytkowego. Osobliwie zaś nie na rękę jej jest ta poufała zażyłość z Podwalskimi, od której jednakowoż uchylić się nie może, bo od dziecinnego wieku najściślejsza przyjaźń łączy ją z panią Podwalską. Jest to osoba niezmiernie zacna, trochę może do przesady pobożna, ale tłumaczy się to zmartwieniami, których doznała i doznaje. A głównie z powodu córki. Helenka jest niezawodnie bardzo miłą osobą, ale to, niestety, przyznać trzeba, że nie postępuje ona sobie wobec matki tak, jak powinna. Bywa nieraz kapryśną, opryskliwą, a przytem trwoni majątek swój i matki, na co p. Podwalska w słabości swojej pozwala, bo nie może oprzeć się żadnemu zachceniu córki, jedynaczki. Już to jedynaczki zawsze bywają trochę popsute; dla Wandzi jest to wielkiem szczęściem, że nie ma rodziców, bo byłaby niezawodnie także zepsutem dzieckiem—ale niem nie jest, albowiem p. Trzecieszczakiewiczowa mimo miłości swojej dla tak bliskiej krewnej, a do tego sieroty, trzyma ją w wielkim rygorze. Gdyby pani Podwalska postępowała w ten sposób ze swoją córką, wszystko byłoby inaczej. Tak zaś, jak rzeczy stoją, już i wioska i kamienica zadłużone są ogromnie, i kredytu prawie już nie ma. Wszystko to zresztą dałoby się przeboleć, gdyby Helenka nie była tak lekkomyślną w każdym kierunku. P. Trzecieszczakiewiczowa nie lubi, broń Boże, ani powtarzać, ani słuchać tego, co ludzie mówią, ale mówią, i nikt im tego zabronić nie może. Przy tem nie da się zaprzeczyć, że Helenka w istocie zbyt długo i bez potrzeby brała lekcje od wielkiego mistrza tonów, i to zawsze wieczorami, po parę godzin dziennie, podczas których matka nie śmiała wchodzić do pokoju. Później ni ztąd ni zowąd zachciało jej się uczyć literatury, i jak przedtem wielki mistrz tonów, tak potem wielki historyk Kryspin nie wychodził prawie od pp. Podwalskich. Ludzie to wszystko widzą, opowiadają, przesadzają, świat jest bowiem do gruntu złym i karmi się obmową, jak chlebem powszednim. A już, nakoniec, co się tyczy p. Alfreda, to i świat nie winien. Siedem lat z górą trwa ten stosunek, i p. Podwalska sama ze łzami w oczach zwierzyła się p. Trzecieszczakiewiczowej, jakie ztąd wynikły skutki fatalne — a dotychczas żadne namowy, żadne przedstawienia nie były w stanie nakłonić Heleny, by albo wyszła za mąż za p. Zgorzelskiego, albo przynajmniej zerwała z nim raz na zawsze. P. Podwalska ze względu na swoje religijne i moralne zasady nie przeżyłaby może tego ciosu, gdyby Helenka nie wyszła za Alfreda, na wszelki wypadek atoli wypadałoby położyć koniec zgorszeniu i obrazie praw boskich i ludzkich, wynikającej z takiego stanu rzeczy. Ale Helenka powiedziała sobie, że musi mieć bogatego męża, i kto wie, czy nie postawi na swojem. Głupich nie potrzeba siać, sami się rodzą. Tych zapust właśnie, niejaki p. Weinstein, bardzo bogaty przechrzta, bywał bardzo często u p. Podwalskiej — p. Zamecki musiał go nawet tam spotkać. I o tych odwiedzinach mówiono to i owo, czego powtarzać się nie godzi. Bądź co bądź, ze względu na nadwerężony stan majątku, Helena nie powinna była stroić się tak kosztownie, jak tego nigdy przedtem nie czyniła...

— Pani dobrodziejko — przerwał w tem miejscu p. Zamecki, od dłuższego już czasu dający widome oznaki niecierpliwości i oburzenia, które nie uszły uwadze p. Trzecieszczakiewiczowej, ale mylnie przez nią były rozumiane i pobudzały ją tylko do coraz gorliwszego zajmowania się reputacją panny Heleny. Pani dobrodziejko, tego już nadto! P. Weinstein bywał u p. Podwalskiej, ponieważ traktował z nią o pożyczkę, w skutek której za rok cały majątek jej i jej córki stałby się był jego własnością. Wiem to doskonale, ponieważ wdałem się w ten interes, i przeszkodziłem mu. Miła mi nader konwersacja pani dobrodziejki, ale płeć jej nie pozwala mi przedłużać tej przyjemności, wyłuszczeniem powodów, dla których sprawiłem ją sobie po raz ostatni. Żegnam panie, i jestem ich powolnym sługą.

Wyrzekłszy te słowa głosem drżącym od stłumionego gniewu, z drgającemi ustami, z roziskrzonym wzrokiem, p. Zamecki wziął kapelusz, skłonił się jak mógł najzimniej, najgrzeczniej i najpoważniej, i wyszedł, zostawiając skonfundowaną p. Trzecieszczakiewiczowę, jakoteż obydwie jej panienki, które w tej chwili wbiegły były do pokoju, i nie mogły pojąć, co mogło stać się powodem tak oczywistego zerwania dyplomatycznych stosunków, jakiego były świadkami. Byłbym karygodnym nudziarzem, gdybym opowiadał obszernie, jak p. Trzecieszczakiewiczowa przyszedłszy do siebie z osłupienia, dostała natychmiast spazmów, i jak wszystko skrupiło się na p. Trzecieszczakiewiczu, gdy wrócił z biura, jakoteż na Wandzi. Dość będzie nadmienić, że Żolcio skomlił żałośnie, i że sprowadzony fiakrem dr. Czulicki puścił mu krew z łapki, a p. Trzecieszczakiewiczowej zapisał *kali bromatum* z malinowym sokiem, tłumacząc jej oraz, iż sztuka lekarska wobec psów i innych zwierząt okazuje się z konieczności mniej skuteczną, niż wobec ludzi, zważywszy, iż zupełnie uzdrowić może tylko wiara, a tej pieski nawet tak rozumne i miłe jak Żolcio nie mają, ponieważ nie posiadają duszy. P. Trzecieszczakiewiczowa zalała się łzami, i wyznała, że nie może pogodzić się z myślą, aby Żolcio nie miał duszy, na co dr. Czulicki odpowiedział przytoczeniem kilkunastu ustępów z Pisma Świętego i z Ojców kościoła, uzupełniając niedostateczną ich powagę powołaniem się na ks. Zygmunta Stodolskiego. Zacna matrona nie dała jednak za wygraną, ks. Stodolski powiedział jej był bowiem, iż Pan Bóg jest tak wszechmocnym, że jeżli taka Jego wola, to i pies może mieć duszę. Dr. Czulicki odparł, że ks. Stodolski jest mężem pełnym łaski i światła wyższego, który wie więcej, niż wszyscy uczeni, i którego każde zdanie, a więc i to, jest prawdziwem i trafnem. Co rzekłszy i utwierdziwszy p. Trzecieszczakiewiczowę w wierze, uzdrowił ją i odjechał.

Piątek uważany bywa tu i owdzie jako dzień feralny, i tym razem był nim w istocie dla wszystkich prawie osób, z któremi poznaliśmy się w ciągu niniejszego opowiadania. P. Zamecki nie mógł rozmówić się z p. Skryptowiczem, a natomiast rozmówił się z p. Trzecieszczakiewiczową w sposób powyżej opisany a wcale nieprzyjemny. P. Skryptowicz, zbudzony nim się wywczasował do woli, nie mógł zasnąć po odejściu p. Tadeusza, wdział szlafrok i pantofle i chodząc w szlafmycy po całem swojem pomieszkaniu, zrzędził na żonę, że go dała zbudzić, i że spóźniła się z obiadem, i że starała się wytłumaczyć ile możności z tych ciężkich przewinień. Nakoniec, gdy mu dano jeść, skosztował łyżkę rosołu, poczem bez podania przyczyny, porwał talerz, łyżkę, i wszystko co było na stole, i wyrzucił za okno, sam zaś wyszedł do swego pokoju, zatrzaskując mocno drzwi za sobą. P. Skryptowiczowa zaczęła płakać i zwołała w kuchni radę wojenną, aby dojść, czego właściwie mogło brakować rosołowi, lub czego było za wiele. Mężulek jej tymczasem ubrał się i wyszedł oświadczając, że idzie na obiad do restauracji, bo nie ma bynajmniej zamiaru żywić się ropą zaprawioną niedokwasem węgla. Pani Skryptowiczowa wniosła ztąd, że rosół musiał być przesolony i przydymiony, i poczęła płakać jeszcze mocniej, p. Skryptowicz zaś wyszedłszy za bramę ochłonął z gniewu i irytował się już tylko sam na siebie, a po niejakim namyśle wrócił i przeprosił żonę, a nawet, ku wielkiej jej radości, zdecydował się spożyć resztę obiadu i gderał już tylko w przestankach, biorąc do tego asumpt z każdego ruchu żony i dzieci, z każdego sprzętu, który widział w pokoju, i z każdego słowa, które powiedziano. Nakoniec, posiliwszy się, wydał parę kategorycznych poleceń i wyszedł na dobre, w niezłym stosunkowo humorze, obiecawszy jedynie połamać kości kucharce, jeżeli nie zdecyduje się kupować lepszego mięsa, a urwać jej głowę, jeżeli nie znajdzie lepszej śmietany.

Najbardziej atoli dał się ten piątek weznaki p. Alfredowi. P. Aron Goldstein obiegł nadaremnie wszystkich kapitalistów, z którymi miał stosunki, żaden z nich nie miał ochoty powiększyć swojego zbioru autografów podpisem p. Zgorzelskiego, zwłaszcza gdy każdy posiadał go już w kilku egzemplarzach. P. Goldstein zapewniał, że „połamał sobie nogi“ w usługach naszego bohatera, ale że czasy teraz są bardzo ciężkie, i taki brak gotówki „na placu,“ iż u miljonera nawet nie znalazłby dziesięciu reńskich, gdyby go wziął za nogi i trząsł w powietrzu przez pół godziny. Ba—gdyby p. Zgorzelski dał jaki „drugi podpis,“ znalazłyby się może pieniądze, nawet większe. P. Alfred odparł, że gdyby chciał prosić kogo o podpis, dostałby pieniędzy w banku, i nie potrzebowałby p. Goldsteina.

— Wiesz zresztą, że wkrótce ożenię się i zapłacę długi, których zresztą nie mam tak wiele, bo wszystkie weksle zaintabulowane są na Kruchówce.

— No, ale z tą Kruchówką już tymczasem bardzo krucho. Jest bank, z dwudziestoma tysią-

cami, i drugich dwadzieścia tysięcy wekslami, a cała Kruchówka warta dwadzieścia i cztery.

— Mniejsza o to, ja ci powiadam, że jeżeli mi za dwie godziny nie przyniesiesz tysiąc reńskich, to — widzisz ten rewolwer? Palnę sobie w łeb, i możesz sobie potem pisać na Berdyczów po tych szesnaście tysięcy, których ci braknie z Kruchówki.

— Aj waj, poco tego, poco pan mówi takie straszne rzeczy! Tu jest Pinkas Rosenblum, on zaraz da tysiąc reńskich, ale niech panna Podwalska podpisze weksel. On da i więcej.

— Jakże ty możesz być tak ograniczonym, abyś przypuszczał, że ktoś starający się o pannę będzie ją prosił o podpis na wekslu!

— Inny nie może, a pan może; ja wiem, że pan może.

— Nie, nie zrobię tego na żaden sposób. Nie mogę tego zrobić.—Tu p. Alfred przeszedł się parę razy po pokoju w głębokiem zamyśleniu, a nakoniec stanął przed Goldsteinem i popatrzył mu w oczy.

— Słuchaj — rzekł — czy Rosenblum poszedłby do panny Podwalskiej pytać się ją, czy to jej podpis?

— Aj waj, ja wiem już co pan myśli! To być nie może, ja nie robię takich geszeftów! Ja jestem faktor od złych i od dobrych podpisów, ale nie od takich.... — Tu p. Goldstein wielkim palcem prawej ręki wskazał przez swoje plecy znacząco w stronę, w której znajdował się miejscowy sąd karny.

P. Alfred wpadł w srogi gniew z powodu insynuacji, połączonej z tym giestem, i postąpił sobie z p. Goldsteinem tak sumarycznie, jak się często postępuje z żydem, od którego się nie spodziewa dostać pieniędzy, t. j. wyrzucił go za drzwi. Zmęczony tą operacją i pogrążony w czarnych myślach, bohater nasz siadł na sofie i włożywszy ręce w próżne kieszenie, w niemej zadumie wlepił oczy w drzwi, po za któremi znikł p. Aron. Trwało to z kwandrans, po którego upływie dało się słyszeć pukanie.

— Kto tam?

Drzwi odchyliły się lekko i ukazała się w nich postać tego samego rodzaju, co Goldstein, ale więcej ruda, zyzująca i chuda. Postać ta wsunęła się do pokoju tajemniczo, i zdjąwszy poprzednio kapelusz, uchyliła jarmułki dla wyrażenia większego jeszcze uszanowania, rozglądając się przy tem na prawo i na lewo.

— Czego chcesz?

— Proszę jasnego pana, ja jestem Simche Berger. Ja nie jestem żaden faktor, ja jestem sam kupcem. Poco jasny pan wdaje się z tymi faktorami? To cygany! Ja myślę, że jasny pan potrzebuje pieniądzy? No, może jest jaki podpis?

— Zamknij drzwi, i chodź tutaj.

P. Simche Berger uskutecznił to polecenie, wyjrzawszy poprzednio na kurytarz, i zbliżył się do p. Alfreda na palcach, jak gdyby najmniejszy łoskot mógł przeszkodzić zawarciu interesu tak delikatnej natury.

— No, a kto podpisze? — zapytał po cichu.

— Panna Helena Podwalska, moja narzeczona.

— Cś, cś, zauważył p. Simche, kiwając głową w prawo i w lewo. Taka piękna panna, hrabianka! To ona sama podpisze?

— Czy myślisz może pójść do niej i pytać się, czy podpisała?

— A gdzie tam! Ja przecież wiem, że to nie wypada. Jaśnie pan może być pewnym, że u mnie nikt nie będzie widział tego podpisu. Jaśnie pan włoży weksel w kopertę, i zapieczętuje ją swoją pieczątką, a ja na terminie oddam ją nietkniętą. A dużo jaśnie pan potrzebuje pieniędzy?

— Tysiąc reńskich.

— No, niech jaśnie pan zrobi weksel na tysiąc pięćset, i niech jaśnie pan weźmie podpis, a ja tu będę za dwie godziny i przyniosę pieniądze. Oto jest blankiet.

P. Simche wyszedł, a p. Alfred odsunął szufladę w stoliku stojącym obok sofy, i począł przerzucać znajdujące się tam papiery. Było tam wiele listów i biletów od Heleny, podpisanych jedynie jej imieniem chrzestnem. Po dłuższem szukaniu atoli p. Alfred znalazł list z podpisem: „Helena Podwalska." Nie tracąc czasu, przystąpił do okna, położył blankiet wekslowy na podpisie i dość śmiałą ręką przekopjował go ołówkiem. Następnie wrócił do stolika i po ołówku wypełnił podpis atramentem, i posypał go starannie piaskiem. Porównał jeszcze kopię z oryginałem, uśmiechnął się i powiedział sam do siebie:

— Nikt nie może wiedzieć, do czego mu się przydadzą listy miłośne. Jest to niezły zwyczaj, chować takie szpargały... Jednakowoż — dodał po chwili, i nie dokończył frazesu. Zamyślił się na nowo, chodził niespokojnie po pokoju, a nareszcie porwał kapelusz i rękawiczki i popędził do mieszkania p. Podwalskiej. (C. d. n.)

Przegląd podróży i odkryć w świecie arktycznym,

zestawił

L. Tatomir.

(Ciąg dalszy.)

Korzystając z południowo-zachodniego wiatru i otwartych wzdłuż wybrzeży kanałów, żeglowały oba statki obok siebie do wysp Barenta, gdzie je 13. sierpnia znowu ciężkie wstrzymały zatory i zmusiły do zarzucenia kotwicy na lód lądowy. Nie była to bynajmniej przystań bezpieczna, gdyż przed natarczywością unoszonej prądem morskim kry zasłaniał okręty tylko wystający cypel lądowego lodu, który lada chwila mógł być zdruzgotany. Z tego powodu musiano być ciągle w pogotowiu do podniesienia kotwicy, a podróżnicy nie mogli się odważać na żadne dalsze wycieczki i trzymali się zawsze w takiej odległości, żeby okrętów swoich nie stracić z oczu. Znalazłszy pomiędzy skałami jaskinię niedostępną dla niedźwiedzi, postanowiono zachować w niej zapasy żywności i węgla przeznaczone dla Tegetthoffa, gdyż Wilczek obawiał się zapuszczać wyżej na północ, nie będąc bynajmniej należycie zaopatrzonym na zimowanie, a prócz tego nie można było być pewnym, czy na przylądku Nasau, oddalonym wszystkiego o mil 20 od wysp Barenta, znajdzie się równie bezpieczna kryjówka. Wykonanie tego zamiaru nie spotkało żadnych trudności, a nastręczyło sposobność do wypróbowania psów, zakupionych dla wyprawy jeszcze w Wiedniu, przewożąc niemi zapasy z okrętu na przeznaczone miejsce. Aby je zaprawić do przyszłej pracy, zwożono też niemi na okręt drzewo zniesione prądami morskiemi na wybrzeża wysp. Höfer zajmował się tymczasem badaniami geologicznemi, które uzupełniły spostrzeżenia jego porobione w cieśninie Matoszkin i usunęły wszelkie wątpliwości, co do związku geologicznego Nowej ziemi z Uralem. Wzbogacił on też swój zbiór geologiczny rzadkiemi skamielinami, ale zielniki bardzo mały otrzymały przyrost, gdyż wyjąwszy niewielkie plisze po pagórkach nadbrzeżnych, zarunione nikłą, skarłowaciałą roślinnością, była cała okolica zupełnie martwą. Równocześnie robił hr. Wilczek małe wycieczki łowieckie, które przyniosły mu w zdobyczy kilka fok i białego niedźwiedzia. Wieczorem zgromadzali się wszyscy na Tegetthofie, spędzając kilka godzin na pogadance. Rozbierano też na tych wieczornych zgromadzeniach plan dalszej podróży ekspedycji, której niestety nie można było pomyślnych wróżyć rezultatów. Uwzględniając nadspodziewanie nieprzychylne okoliczności i spóźnioną już porę, widział się Weyprecht zmuszonym do odstąpienia od pierwotnego zamiaru zimowania u przylądka Czeliuskin i postanowił, opłynąwszy przylądek Nasau, zimować u wschodnich wybrzeży Nowej ziemi, aby w przyszłem lecie zapuścić się ztamtąd jak można najdalej na wschód lub północ. Tak więc straciła ekspedycja austrjacka zaraz w początkach swojej podróży nadzieję dotarcia do drogi Beringa i musiała ograniczyć do mniejszych rozmiarów rozległy swój plan.

Z niecierpliwością oczekiwano chwili, kiedy Tegetthoff będzie mógł w dalszą udać się podróż, a Isbiörn wybrać się w drogę z powrotem. Od 18 sierpnia począł barometr stale spadać. Od tego dnia nie pokazało się wcale słońce na zaciągniętem chmurami niebie, wiatr był niestały i niespokojne morze miotało krami w różne strony. Po trzech dniach ustalił się jednak wiatr i dmąc silnie z północnego zachodu, otworzył wolne kanały pomiędzy roztrąconemi krami. Byłoto hasłem do rozstania się podróżników austrjackich. Po serdecznem i rzewnem pożegnaniu, bo któż z nich mógł być pewnym, że nie poraz ostatni ściska podaną sobie dłoń — podniesiono kotwicę i Tegetthoff pognał ku północy, znacząc swą drogę kłębami dymu, a Isbiörn, rozpiąwszy żagle, popłynął ku południowi. W kurzawicy śnieżnej, która właśnie w tej chwili się zerwała, straciły się wkrótce oba statki z oczu*).

* * *

Pędzony silną burzą północną wydobył się Isbiörn prędko z lodów, opłynął wybrzeża południowe Nowej ziemi, nie zatrzymując się zpowodu niepogody i gęstych mgieł nigdzie więcej oprócz u wybrzeży Gęsich, przebył szczęśliwie pomimo niespokojnego morza piaszczyste ławice u ujścia Peczory i zawinął d. 1 września do wyspy Warandaj.

Wyspa ta piaszczysta jest w zimie nie zamieszkaną, w lecie zaś zaludniają ją Samojedzi, którzy przybywają tam w części dla połowu ryb, w części zaś dla wypasania na pobliskich wybrzeżach stałego lądu licznych trzód renów, należących do moskiewskich osadników. Czumy (namioty) tych koczowników nie były jeszcze zwinięte i na widok cudzoziemskiego okrętu wyroiło się z nich wszystko co żyło ku wybrzeżu. Przeprawa przez ujście Peczory jest niebezpieczną dla większych okrętów, szczególnie w czasie mglistym. Podróżnicy starali się więc jak mogli porozumieć z krajowcami i w końcu powiodło im się nie bez trudu nakłonić jednego Moskala i

*) *Gr. Wiltschek's Nordpolfahrt im J. 1872. Nach den Aufzeichnungen des Contre-Admirals Max Fr. Daublesky v. Sterneck u. Ehrenstein.* Petermann *Mittheilungen. 1874.*

Samojeda, żeby im służyli za rotmanów. Po długiej naradzie pomiędzy sobą przybyli oni dwiema łodziami na pokład z kilku towarzyszami i z całemi rodzinami swojemi i wszyscy, wyjąwszy Moskala, oglądali z podejrzliwą ciekawością nietylko okręt, lecz i każdego z cudzoziemców z osobna, jakgdyby chcieli się przekonać, czy to są takie same istoty. Pomiędzy przybyłymi były i dwie córki Moskala, które w chwili, kiedy podnoszono kotwicę, rzuciły się swemu ojcu na szyję, zaklinając go, żeby nie jechał z cudzoziemcami. Nakoniec ulegając ponawianym namowom i rozkazom obu rotmanów, powrócili ci nieproszeni goście na swoje czółna i Isbiörn rozwinął żagle.

W tej podróży w górę Peczorą poznali podróżnicy austrjaccy rzadko kiedy zwiedzany arktyczny zakątek Europy, a opisanie jej, ogłoszone przez bra. Sterneck*), zawiera tak ciekawe szczegóły o stosunkach społecznych i sposobie życia tamtejszych mieszkańców, że czytelnicy nasi pewnie będą radzi znaleźć je tutaj przytoczone w dosłownem prawie brzmieniu.

„Nasz rotman, Moskal rodem z okolic Czerdyna, jest bogatym właścicielem trzody renów, i żyje już od wielu lat pomiędzy Samojedami, u których jako przełożony i sędzia pokoju w wielkiem zostaje poważaniu. W tem urzędowaniu wspiera go wiernie jego przyjaciel Samojeda, drugi nasz rotman, który jest najstarszym dostojnikiem w swojej hordzie. Są też oni obaj nierozdzielni i jeden bez drugiego nie chciał przybyć na Isbiörn.

Przy ostrym wietrze od morza dopłynęliśmy około 9 wieczorem do zachodniej kończyny wyspy Werandaj, ale gdy wiatr ustał, zmusił nas przeciwny prąd rzeki do zarzucenia kotwicy. O północy zapowiedziały nam jednak wielkie fale bijące od morza zbliżający się wiatr, i czujni nasi rotmani kazali nam wkrótce znowu rowinąć żagle gęsto. Z sypiącym śniegiem wpłynęliśmy w łożysko Peczory. Dzieląc się w ten sposób robotą, że Samojeda siedział po największej części w koszu masztowym, a Moskal sterem kierował, zaprowadzili nas nasi rotmani szczęśliwie do zatoki Bołwańskaja. Zatoka ta zasłonięta jest od natarczywości fal morskich tylko piasczystemi ławicami, brzegi jej są zupełnie puste, a przystęp do nich utrudniają owarujące je szerokie mielizny. Kap. Mathiesen kazał tu niegdyś zbudować drewniane wieże z sygnałami dla wskazywania drogi okrętom. Zastaliśmy je teraz zburzone, gdyż powaga towarzystwa Sidorowa w Aleksiewce nie sięga w tak odległe strony, a przebywający tutaj latem dla połowu ryb Samojedzi i Moskale niszczą umyślnie te sygnały żeglarskie, aby obce statki zawijając w ujście Peczory nie robiły im konkurencji. Spostrzegliśmy też na brzegach szczątki kilku rozbitych okrętów.

Nie znając stosunków miejscowych, nie mając mapy Peczory, a nadto nie mogąc porozumieć się z naszymi przewodnikami, postanowiliśmy oczekiwać tutaj, stosownie do „instrukcji dla żeglarzy zawijającyh w ujście Peczory", wydanej w r. 1870 przez kap. Mathiesen, przybycia łodzi lub okrętu towarzystwa Sidorowa. Później dopiero dowiedzieliśmy się, że instrukcja ta była już przedawnioną. W takiem oczekiwaniu przepędziliśmy całą noc na statku, a gdy i nazajutrz żaden okręt się nie pojawił, zdecydował się hr. Wilczek ze mną wsiąść do łodzi i zdać się na wolę naszych rotmanów, którzy obiecywali nas zawieść do domu Matheisena, gdyż spodziewaliśmy się, że ów dom należy zapewnie do osady handlowej, założonej przez Sidorowa na brzegu Peczory. Z trzema majtkami i z obydwoma przewodnikami opuściliśmy tedy Isbiörn przy najpiękniejszej pogodzie, a mając bryzę północną, pominęliśmy prędko przylądek Bołwański i wpłynęliśmy w żeglowne ramię Peczory. Nie mieliśmy wyobrażenia o odległości, którą wypadało nam przebyć, a o ile mogliśmy wyrozumieć z opowiadania naszych przewodników, byliśmy pewni, że podróż nie potrwa dłużej nad 4 do 5 godzin. Doświadczenie późniejsze przekonało nas jednak, że wskazywane przez krajowców odległości należy zawsze przynajmniej przez trzy pomnożyć.

Płynęliśmy szybko, nie używając nawet wioseł, przy pomocy samych tylko żagli, ale podróż nasza mało przedstawiała rozmaitości. Od czasu do czasu spotykaliśmy barki rybackie i widzieliśmy chaty rybaków, plecione z wierzbowych prętów i kryte liściem, rozrzucone zdaleka jedna od drugiej po niskich brzegach. Na częstych zakrętach rzeki zamykały nam drogę piaszczyste kępy i ławice, na których żerowało nieliczne w tych stronach wodne ptactwo. Zapadał już zmrok wieczorny, kiedy spostrzegliśmy w dali szczyty masztów i myśleliśmy uradowani, że jesteśmy u celu. Ale zbliżywszy się przekonaliśmy się, żeśmy byli w błędzie. Byłyto bowiem maszty dziesięciu wielkich łodzi, prowadzących handel wymienny na Peczorze. Przywożą one zboże, żywność i różne inne do codziennego życia potrzebne artykuły i mieniają je tutaj za sławne łososie peczorskie, które ztąd po całej rozsyłają Rossji. Punktem wyjścia tego handlu na Peczorze jest Czerdyn, leżący na dorzeczu Wołgi. Towar ztamtąd prowadzą naprzód czółnami Wołgą w górę, a następnie na osi przez wąski grzbiet działowy do Peczory. Już się było zupełnie ściemniło i ostre przejmowało zimno, a my ciągle jeszcze płynęliśmy, nie widząc nic innego tylko głuchą dokoła pustynię. Wkrótce też pokazało się, żeśmy zmylili drogę i wpłynęli w ramię rzeki, nie mające wyjścia, w którem na dobitek nieszczęścia osiedliśmy na mieliźnie. Wszelkie wysilenia naszych norwegskich majtków, aby się wyswobodzić z fatalnej zaspy, były daremne, aż wreszcie wskoczyli obaj rotmanie w wodę, i brodząc powyżej kolan, zepchnęli łódź na głębiznę. Puściliśmy się znowu w drogę i nakoniec wiosłując silnie, stanęliśmy około godziny pierwszej przy świetle wspaniałej zorzy polarnej u kresu naszej podróży.

Ale o ile nas zachwycała zorza, zalewająca promieniami światła całe niebo od zenitu aż do krańców widnokręgu, o tyle byliśmy rozczarowani widokiem owego domu Mathiesena. Zamiast spodziewanej osady, składów drzewa i okrętów Sidorowa, znaleźliśmy wszystkiego tylko samotny dom, zbudowany z drzewa na wysokiem brzegowisku. Przez niezamknięte drzwi weszliśmy do pustego wnętrza, które ściana drewniana na dwie przedzielała części. Gdy nasi przewodnicy na wielkim piecu piekarskim, zajmującym prawie czwartą część jednej izby, rozniecili ogień, przekonaliśmy się, że dom ten, jakkolwiek niepokaźny, zbudowany był mocno z grubych pni sosnowych, miał dobrą powałę, dwa małe okna, długie ławy pod ścianami, tapczan do spania na piecu i zapewniał nam ciepłe na noc schronienie. Przyrzuciwszy więc drew do ognia i posiliwszy się sucharami ze słoniną, które nam niezrównanie smakowały, ułożyliśmy się na ławach jak najbliżej pieca i wkrótce z niewymownie miłem uczuciem, jakiego doznają ci, którzy po kilku miesiącach morskiej podróży kładą się po raz pierwszy na spoczynek na suchej ziemi, usnęliśmy twardym snem." (C. d. n.)

*) *Rückreise von Gr. Wiltschcki arktischer Expedition durch Nordost-Russland. Nach den Aufzeichnungen des Contre-Admirals Fr. Daublesky.* Petermann *Mittheilungen 1874.*

POGADANKI.

IV.

Donosiły dzienniki, że z. r. przedstawiano w teatrze *„alla Scala"* w Medjolanie operę, której libretto przerobione jest z „Konrada Wallenroda." Autorem muzyki jest p. Ponchielli, libretto sporządził p. Ghislanzoni i dał mu tytuł: *„I Lituani"* (Litwini). Znalazłem je, nie w księgarni, ma się rozumieć, ale w biurze sekretarjatu galicyjskiego Towarzystwa ku podniesieniu chowu koni, a to jest okoliczność, która niekoniecznie „ma się rozumieć." Przypuszczam, że dla każdego będzie zajmującem dowiedzieć się, w jaki sposób p. Ghislanzoni usiłował potężnemu utworowi Mickiewicza nadać formę dramatyczną, i dla tego też pozwalam sobie w kilku słowach opowiedzieć jego libretto.

Składa się ono z prologu i z trzech aktów, i pod względem dykcji poetycznej nie ustępuje innym utworom tego rodzaju, ani też je przewyższa. Nie opłaci się zresztą pisać pięknych wierszy pod muzykę. Kompozytorowie postępują sobie z niemi zbyt niegodziwie. Gdyby Wallenrod konał po polsku na scenie, tenorzysta lub barytonista przedstawiający go nie mógłby wygłosić po ludzku ostatnich słów bohatera:

„To moje dzieło! Jak'em hardy, dumny...
Tyle głów hydry jednym ściął zamachem;
Jak Samson — jednem wstrząśnieniem kolumny
Zburzyć gmach cały — i runąć pod gmachem!

Nie, brzmiałoby to tak:

„I runąć, i runąć, i ru, i ru, i ru-nąć, i ru-u-u-u-nąć
„pod gma.. a...a...a...a...chem!

Ostatnie „chem" byłoby już oczywiście ile możności patologicznie wiernem naśladowaniem ostatniego westchnienia przy zgonie. Kilka razy już pietyzm krytyków protestował przeciw podkładaniu znakomitych kreacyj poetycznych jako tekstu pod muzykę, i to nietylko z powodu barbarzyńskiego obchodzenia się z dykcją. Czego też nie dopuszczono się np. na „Fauście", na „Romeo i Julji!" a nawet na „Le roi s'amuse!" Takie kaleczenie arcydzieł dramatycznych wola o pomstę do nieba, zwłaszcza gdy twierdzenie, jakoby muzyka była w stanie wyrazić to wszystko, co wyraża poezja, i jakoby efekt jej wynagradzał to, co się traci na porąbaniu poezji — twierdzenie to mówię, jest więcej konwencjonalnie przyjętym artykułem wiary, niż niezawodnym pewnikiem. Gdy opera wyjdzie z mody, co niezawodnie kiedyś nastąpi, przyszłe pokolenia będą się dziwiły, jak ojcowie ich i matki i stryjowie mogli zachwycać się czemś tak nielogicznem, nieprawdziwem, a często nawet nie melodyjnem i nie harmonijnem, i przeto, na wskróś niepięknem. Ale cóż — dzisiaj jeszcze sztuka melodramatyczna jest *en vogue*, i wolno jej anektować, co jej się podoba. Przypatrzmy się, w jaki sposób p. Guislanzoni anektował dla niej „Konrada Wallenroda."

*

W „Prologu“ występują cztery osoby: książę litewski, imieniem Arnold(!) przerobiony z Kiejstuta, jego siostra Aldona, mąż tejże Walter, i stary wajdelota Alban. Arnold i Walter walczą z Krzyżakami, ponoszą klęskę w skutek zdrady Witolda, który jest *un' condottiere*, i Walter postanawia wykonać plan, powzięty niegdyś w niewoli niemieckiej z poduszczenia Albana, i żegna się z Aldoną. Scena ta jest nader dramatycznie pojętą, a publiczność włoska nie musiała szczędzić oklasków, kiedy Walter woła:

„Anatema su voi
„Esecrati satelliti di Roma...
„Per cui santa é la guerra
„Del fratricidio... e solo omaggio a Dio
„Spegner le vite e desolar la terra... *)

Po prologu upływa dziesięć lat, i pierwszy akt melodramatu rozpoczyna się wyborem wielkiego mistrza w Marienburgu. Widać w całym układzie, że przerabiacz miał zamiar trzymać się ile możności wiernie pierwotnego poematu — nie wywiązał się atoli szczęśliwie z tego zadania. Chór sławi Wallenroda i jego czyny rycerskie. Witold, prosty zdrajca i teraz już krzyżak, przebąkuje coś o jego wadach. Część chóru powtarza za nim, że wielki mistrz jest:

....un libertino
A cui son Numi
Le donne e il vino**)

„Le donne“ są tutaj zupełnie zbytecznym dodatkiem, zmieniającym z gruntu postać, nakreśloną przez naszego wieszcza:

Nawet piękniejsze i słodsze nagrody
Minstrelów hymny i piękności względy
Nie przemawiały do zimnego ducha:
Wallenrod pochwał obojętnie słucha.
Na kraśne lica spogląda z daleka,
Od czarującej rozmowy ucieka...

P. Ghislanzoni nie zastanowił się, że zarzut tego rodzaju nie dałby się pogodzić z idealną miłością ku Aldonie, gdyby był prawdziwym. W ogóle atoli chciał on poprawić Mickiewicza i postawić bohatera bez żadnej skazy, dla tego też nawet „szukanie pociechy w gorącym napoju“ jest u niego wymysłem zdrajcy Witolda.

Wallenrod wybrany jest wielkim mistrzem, na jego cześć dziesięciu jeńców litewskich ma oddać głowę pod miecz katowski, między nimi ów Arnold. Wallenrod uwalnia więźniów, i zapowiada panowanie miłości chrześcijańskiej, a koniec rozlewu krwi. Burzą się chóry, ale on je poskramia swoim rozkazem. — Tymczasem Arnold uwolniony spotyka Aldonę, którą zostawić miał gdzieś w klasztorze (na Litwie?). Dowiaduje się ona od niego o losach Waltera i postanawia zostać w Marienburgu. Czy nie jest piękniejszem, poetyczniejszem, a nawet melodramatyczniejszem bezpośrednie jej poznanie się z Alfem, błądzącym u stóp wieży? Librecista nie zwrócił uwagi swojej na tę scenę, równie jak w drugim akcie, obejmującym ucztę, nie wyzyskał bynajmniej skarbów jak gdyby umyślnie przygotowanych dla kompozytora w pierwotworze Mickiewicza. Arnold i Aldona, wchodzą na salę między biesiadników, menestrele i bardy pieją ni to ni owo, i oprócz hasła: „Cieszmy się w Panu!“ (Esultiamo nel nome del Signor) przypomina oryginał jedynie ten dwuwiersz:

„Il vino i cori allegra,
Ma il canto é il vino del pensier.“

Konrad upomina się o pieśń rycerską, a Arnold śpiewa mu o bohaterze, który ma zakrwawić serce niewieście a pomścić krzywdę Litwy. Konrad wpada w gniew mniemając, że jest zdradzonym, i chce zabić Arnolda i Aldonę, ale poznaje ich i staje w ich obronie, poczem oburzenie Niemców wybucha w zapał wojenny przeciw Litwinom i zasłona spada. Rzecz dziwna i trudna do uwierzenia, że kompozytor nie upomniał się u librecisty o balladę, którą Wallenrod odpowiada na śpiew Wajdeloty.

Trzeci akt rozpoczyna Aldona w śród gruzów jakiegoś klasztoru, bardzo długim śpiewem. Alf wraca z wojny, w której zakon poniósł śmiertelne klęski. Scenę przywitania przerywa okrzyk: „biada!“ wysłańców femicznego sądu. Gwoli dramatyczności, Wallenrod przerażony jest tym odgłosem jak student, któremu grozi kara za figle. Następuje jeszcze jedna scena, przedstawiająca w żywych kolorach porażkę Niemców, poczem Witold jako naczelnik sądu femicznego ściga Konrada, który wypija truciznę, żegna się z Albanem, zrzuca krzyż i płaszcz, i dobywa miecza. W tej chwili wpadają Litwini, jako zwycięzcy, chwytają Witolda i Niemców, a Aldona rzuca się w objęcia Konrada. Wszystko za późno — trucizna zabija Konrada, i chór spiewa:

Chi per la patria muore
Eterna fama avrà.

Tak wygląda mniej więcej dramatyczne *ragout*, które p. Ghisłanzoni zrobił z Wallenroda. Sosu muzycznego, należącego do tej potrawy, nie znamy jeszcze — dodam więc tylko, że alla Scala partję Wallenroda spiewał p. Bolis, Aldonę p. Antonietta Fricci, Albana p. Petit, Arnolda p. Pandolfini, a Witolda p. Padovani. Być może, że na scenie, zwłaszcza jeżeli muzyka nie kontrastuje z treścią, tak jak to czasem bywa w operach włoskich — efekt zbliża się o ile to być może do wrażenia jakie sprawia oryginał. Kto atoli zna tylko libretto, w tym mimowoli obudzić się musi życzenie, by już nigdy a nigdy żadna niepowołana ręka nie porywała się na przerabianie arcydzieł poetycznych dla użytku pp. kompozytorów. Wallenrod w tej szacie wygląda jak „Lulu“ przystrojony w kapelusz i szarą kapotę Napoleona I. Gdyby nawet wywodził najcudniejsze trele, musiałby irytować albo śmieszyć widza.

* * *

Wiadomo, że Amfjon zbudował Teby dźwiękami swojej lutni, że Arion rozmaitemi fugami i pasażami zniewolił delfina, aby go przeprawił przez morze, a Orfeusz muzyką swoją poruszał lasy, skały, tygrysy, lwy i niedźwiedzie. Wszystkie te cuda atoli przypisać należy jedynie brakowi recenzentów muzycznych w owych odległych czasach. Dziś nie uda się już nic podobnego. Oto np. w niedzielę grał p. Mikuli *„Etude“* Szopena w sali ratuszowej i lew jakiś, tygrys czy delfin XIX stulecia, zamiast zachwycać się, napisał o tem co następuje:

„Najprzód grał pan M. etiudę ową o połowę w powolniejszem tempie, aniżeli jest napisaną, z ciągłemi retardandami na nutach spiewowych. Artysta nie łączył ich z figuracją akordową, wreszcie na przedostatniej frazie zrobił dodatek z pasażu w pospolitej gamie, czego nie masz w oryginale, a w ostatnich łatwiejszych kilku taktach pospieszył w tempie.“

Wszystkich tych przeraźliwych zbrodni dopuścił się Mikuli na rzecz kupna obrazów Matejki, i zapewne z tego powodu kupno to nie klei się tak prędko, jak się skleiły Teby. Gdyby też był połączył ritardanda z figuracją akordową — coby mu to było szkodziło?! Albo jeżeli już koniecznie chciał wkładać pasaż we frazę, to dla czego nie wybrał jakiej jaśnie wielmożnej gamy do tego, ale całkiem pospolitą? Fe! To się nie godziło, ale też ma teraz za swoje. Oho! u nas nie Tracja, moi panowie egzekutorowie, ani Beocja. To nie niedźwiedziom i delfinom robić ritardanda na nutach śpiewowych; my przychodzimy na koncert z metronomem i mierzymy tempa, z zeszytem edycji „Petersa“ w kieszeni. Mój mocny Boże, jakaż mię litość zbiera nad temi bydlętami mitologicznemi które nie znały tych wszystkich sposobów i nie wiedziały nawet, co jest fraza, a co figuracja akordowa! Cóż teraz dziwnego, że z czasem licho porwało całą mitologję, z wyjątkiem Pięknej Heleny i Orfeusza w piekle! Strzeżmy-ż się „ritardandów“, bo źle będzie z nami!

Jan Lam.

*) Przekleństwo wam, przebrzydli satelici Rzymu, dla których świętą jest bratobójcza wojna, a hołdem Bogu oddanym, mord i spustoszenie.

**) Rozpustnik, rozmiłowany w kobietach i w winie.

Piśmiennictwo zagraniczne.

(Ciąg dalszy).

(Promenade autour du Monde par le Baron de Hübner; 3 edition; Paris, Hachette — 1874. — Przechadzka dokoła świata barona Hübnera.)

Skończywszy wyciąg z części poświęconej Japonji, poświęćmy teraz nieco więcej miejsca Ameryce. Zaczynamy od Nowego-Yorku.

„W Nowym-Yorku — mówi br. Hübner — wszystko jest zajmującem, jakkolwiek nie wszystko czaruje. Nie można się tu nasycić widokiem ciągłego ruchu, owej działalności nieustannej, gorączkowej, która każdego poranku uwydatnia się na ulicach Broadway i Wallstreet; tudzież widokiem życia wytwornego, ożywiającego przy zachodzie słońca Piątą ulicę, słynną ze swej wspaniałości, a przepełnioną mnóstwem przechodniów i karet. Przepych powozów i do tego herbowych,bogate liberje, konie wysokiej ceny, zaniedbane toalety kobiet, lepiej uposażonych od przyrody niżeli przez szwaczki, cały ten obraz zaostrza raczej ciekawość, niż rodzi zadowolenie. Mimowolnie człowiek usiłuje odszukać związku pomiędzy owym zbytkiem, paradującym w kraju republikańskim w dzień jasny, a pragnieniem równości, będącej sprężyną, celem, bodźcem, nagrodą i karą stowarzyszeń demokratycznych.

Bez wątpienia ten świat modny, wykwintny, jest w ogóle zaledwie cierpiany przez proletarjat, przez robotnika w bluzie, nie wahającego się potrącić bogacza, gdy mu się sposobność ku temu nadarzy; lecz znana tolerancja w Stanach Zjednoczonych Ameryki, da się wytłumaczyć nadzieją, którą każdy tam żywi — i nie bez podstawy — dojścia z czasem do takiegoż stopnia dobrobytu, że i on z kolei ujrzy swoją małżonkę, dziś przekupkę lub praczkę, jutro rozciągniętą w pięknym faetonie z rasowym rumakiem, co kosztował 5000 dolarów. Widok więc pomyślności i dostatków bliźniego jest tam więcej zachętą do życia czynnego niż pobudką do zazdrości.

Tu właśnie leży różnica między demokratami amerykańskimi a starej Europy. Ten ostatni nie ma nadziei wyniesienia się, i dla tego stara się zniżyć ku sobie innych. Jego dźwignią jest zazdrość, a jego zadaniem zrównanie lub zniszczenie. Obywatel zaś amerykański chce używać. Ażeby przeto żądzy swojej zadość uczynić, winien parciem pracującej siły zyskać dla się pieniądze, co w Nowym Świecie jest zawsze możebne, a często nawet łatwe. Gdy się zbogaci, narzuca się wtedy społeczeństwu w dobrej wierze, sądząc się być równym każdemu. Słowem, usiłuje wznieść się, szukając równości w sferze wyższej od tej z której powstał.

Demokrata europejski, przeciwnie, pragnie zrównać się z możnymi, przykrawując ich niejako do własnych ramek. Z tych dwóch demokracji przenoszę amerykańską. Pomimo to zdaje się, iż na tym padole, zarówno w Ameryce, jak i na naszej półkuli, bezwględna równość istnieje tylko w teorji. Najwięcej mię o tem przekonały Stany Zjednoczone.

Powróćmy bowiem do owego robotnika w bluzie, który około godziny szóstej po południu zwykł

przechadzać się dla wypoczynku po Piątej ulicy. Widowisko, roztaczające przed nim świetne barwy, nęci go, drażniąc. Wzrok jego promienieje radością. Dlaczego? Bo pragnie, aby wszystko, na co patrzy, stało się kiedyś przystępnem i dla niego, chociaż niestety! pragnienie to nigdy mu się nie ziści w całości. Stać się bardzo może, iż dorobi się on książęcego majątku, że będzie się mógł współubiegać bogactwy, okazałością, przepychem z miljonerami z Wallstreet, ale nie znajdzie dla siebie miejsca w pewnych słojach wyższego towarzystwa. W stosunkach zawiązanych z niem dozna wkrótce rozczarowania z powodu niższości swojej. Być może, że jego syn lub wnuk zniweluje się z tem towarzystwem; lecz on sam będzie w niem zawsze wyjątkiem. Cokolwiek bądź, ponieważ człek w bluzie należy do większości w Stanach Zjednoczonych, nie zraża się przeto przeciwnościami, walczy skrycie i otwarcie, niekiedy nawet grubijańsko; goni za ideałem równości umysłowej i społecznej, choć go doścignąć nie jest w stanie.

Ztąd pochodzi, że ludzie wykształceni, z rozwiniętym smakiem tradycji na wzór Europejczyków, chronią się ile mogą zetknięcia z publicznością, składają światek osobny, unikają niewygodnej spółki z życiem pozytywnem kraju, stronią od pośpiechu w olbrzymich pracach ciągnących korzyści z ogromnego lądu, odkrywających w nim coraz nowe skarby, tworzących cuda, które słusznie podziwiamy. Tam każdemu wolno popisywać się ze zbytkiem olśniewającym, gdyż nabycie wszelkich dóbr zmysłowych stoi otworem dla każdego. Natomiast nie przystoi odchylać pospólstwu widoku roskoszy umysłowych i wyszukanej subtelności w obyczajach. Tego rodzaju kosztowności są tam tak starannie chowane, jak ukrywane były w wiekach średnich przez Żydów i jak możni na Wschodzie ukrywają dotąd dostatki swoich ognisk domowych po za murami nędznej powierzchowności.

Zwyczaj ten sprawia, że w zamorskim świecie napotykamy częściej osobistości pospolite z zachciankami, niż wykształcone w pełnem znaczeniu tego wyrazu. Ztąd to rozeszła się była wieść po Europie, jakoby Amerykanie północni nie umieli żyć. Wieść ta jest mylną. Dorobkiewicze, co zdobyli fortunę własnym przemysłem, odwagą i wytrwałą pracą, co poświęcili na ten cel cały swój czas, nie mieli sposobności do wyższego kształcenia się. Są oni atoli przeświadczeni o swojej wartości i boleją, widząc się wykluczonymi przez osoby stojące po nad nimi na świeczniku inteligencji i dobrego tonu. Ich to wszędzie pełno, gdy prawdziwi tak zwani *gentlemeni* i panie *lady* trzymają się na uboczu, nieobecnością swoją protestują przeciw równości, stanowiąc, mianowicie w wielkich grodach, jak Boston i Filadelfja, oddzielne kółka szczelniej zamknięte w sobie od salonów arystokracji i panujących dworów w Europie.

* * *

Co do powierzchowności Nowy-York ukazuje w sposób uderzający charakterystykę całego obszaru Unji. Rzec można, iż życie zmysłowe, duchowe i handlowe zespoliło się tu w jedno ognisko i że ztąd dopiero roztacza swoje światło na niezmierne przestrzenie Stanów.

Broadway jest przedstawicielką wielkich żył łączących rozliczne części nietylko stałego lądu, ale i dwóch Oceanów. Wprawdzie City londyńskie, Bulwary paryskie, Ringstrasse wraz z labiryntem ulic i uliczek wiedeńskich są prawie tak ożywione jak i Broadway, lecz ich żywot wynika głównie z potrzeb czysto miejscowych, podczas gdy Broadway, owa potężna strażnica metropolu amerykańskiego jest więcej niż ulicą, bo jest gościncem wiodącym daleko, prowadzącym wszędzie! Broadway przyjąwszy na prawo i lewo swoją napływową ludność i towary, ma jeszcze w zapasie dosyć do zaopatrzenia niemi kolej żelaznych. Osoby, które spostrzegamy przejeżdżające, są to przeważnie podróżni; ich postaci zaniepokojone, jakby obawą niezdążania na czas do pociągu*). Nie ulega wątpliwości, że Nowy-York jest rzeczywistem miastem w pojęciu europejskiem, podobnie jak Londyn, Paryż, Wiedeń; ale oprócz tego jest on więcej jak miastem: jest jednocześnie olbrzymią stacją kolei, składem, (wedle języka Amerykan) wędrowców i towarów, w którym się nagromadza ludność ruchoma dość znaczna do nadania miastu cechy działalności, zajęcia się, tymczasowości, dążenia ku lepszemu, przymiotów wyciskających swe piętno na wszystkich grodach Unji. (C. d. n.)

*) Takie całe karawany podróżnych, przybywających z wewnątrz kraju a zamkniętych w ogromnych wagonach, widzieć się dają w ulicach zaludnionych N.-Yorku; gdyż za zbliżeniem się do miasta, odczepiają od wagonów lokomotywę, zaprzęgają do nich konie i wjeżdżają do środka miasta, zatrzymując się przed hotelami. Ten widok przejażdżki, przesuwającego się szybko obok chodników długiego orszaku, szczególne robi wrażenie.

O POPRAWIE
społecznego i ekonomicznego stanowiska kobiet.

Studjum podług Dr. Fr. Holzendorfa.

(Ciąg dalszy).

Czy uprawnienie kobiet do głosowania, gdyby do tego przyszło nawet, wywarłoby jakikolwiek wpływ na bieg spraw publicznych, zmieniając z czasem siły partyj politycznych, o tem trudno wyrokować. Nam się zdaje, że stosunek przeciwnych prądów, tudzież interesów pojedynczych stronnictw nie ucierpiałby wiele przez udział kobiety w życiu publicznem. Tylko w tych państwach, gdzie płeć żeńska, oddana zupełnie wpływom duchowieństwa, zadania społeczne i obowiązki względem ojczyzny, podporządkowuje interesom kościoła, mogłoby się wydarzyć, że sprawy polityczne poszłyby torem więcej wpływowym; mężczyźni bowiem mniej są nieprzystępni dla agitacji duchowieństwa. Zresztą wielkie jeszcze pytanie, czy kościół chciałby narazić swoją powagę rzucając się w wir roznamiętnionych stronnictw.

Zkąd to pochodzi jednak, że usiłowania zdobycia prawa głosowania i dla kobiet objawiły się przedewszystkiem najpierw w Anglji i Ameryce, podczas gdy cały zachód przy równym prawie stopniu oświaty zachował się biernie? Jak wytłumaczyć sobie objaw tej obojętności w tak doniosłej kwestji?

Pochodzi to bezsprzecznie ztąd, że kobiety w tych krajach zajmują w życiu publicznem zupełnie inne stanowisko od naszych. Prawo przyznało kobietom angielskim istotnie taki zakres działalności, z którym nasz polski zwyczaj i narodowe tradycje jeszcze do dziś dnia nie mogłyby się pogodzić, owszem sprzeciwiałyby się wprowadzeniu w życie podobnych nowości. W Anglji nikogo to nie zadziwia, gdy kobieta pojawi się na trybunie i publicznie rozprawia na wielkich zgromadzeniach. Kobieta tam bierze udział w rozprawach nad publicznemi sprawami, miewa odczyty i pisze broszury o społecznych kwestjach, podaje środki zapobieżenia klęskom publicznym i obmyśla reformy społeczne, przyczynia się nareszcie głową i kieszenią do wszystkich praktycznych przedsiębiorstw, któreby tylko miały na celu przyniesienie jakiejkolwiek ulgi w klęskach narodowych. Mało jest gałęzi wewnętrznego zarządu państwowego, w których by kobieta angielska nie pracowała i nie przyczyniła się do ich rozwoju. Pani Fry liczy się do reformatorów systemu więzień w Anglji. Obok Howarda dała ona największą podnietę rządowi do wprowadzenia wielu ulg w położeniu więźniów. Imię pani Chisholm zapisane jest niezatartemi głoskami w dziejach kolonizacji australskiej. Jej zawdzięczać ma Anglja, że dla przesiedlających się kobiet stworzyła ochronę przeciw demoralizacji i nieokrzesanym wybrykom na pół zdziczałej ludności australskiej.

Pani Marja Carpenter liczy się z chlubą do najgruntowniejszych znawców urządzeń domów karnych i poprawczych. Jej dzieło drukowane w roku 1864 w Londynie, doczekało się kilku wydań w Ameryce. Wsparta przez wdowę Byrona, założyła pani Carpenter obecnie w Brystolu dom poprawy dla opuszczonych dzieci, a skutki i urządzenie tego przytuliska znalazły powszechne uznanie i zjednały jej zasłużoną sławę. Niedawno temu podróżowała po Indjach, gdzie badała na podstawie danych, których jej rząd indyjski dostarczył, więzienia w Bengalji i szkoły misjonarskie. Starała się za pomocą zreformowania zakładów naukowych, wyswobodzić kobietę w Indji z tysiącletniego upośledzenia i upadku i wszczepić w jej umysł poczucie godności ludzkiej. Angielscy nawet dyplomaci słuchali jej rad i otaczali ją przynależnym szacunkiem.

Pani Florence Hill krząta się z niestrudzoną gorliwością około wprowadzenia w życie zakładu nakształt istniejącego w Mettray, który obrał sobie to szczytne zadanie, aby wpłynąć środkami pedagogicznemi na poprawę nieletnich więźniów; wymiar kary, często za dotkliwy w swych skutkach u nieletnich przestępców w Irlandji, zawdzięcza jej jedynie swe sprawiedliwe i ludzkie reformy. W dziedzinie przytulisk dla sierót poczyniono tamże również za jej inicjatywą nie jedno ulepszenie. Jedna z jej sióstr, stara się obecnie wydrzeć zepsuciu tysiące dzieci, które zasmakowawszy w próżniaczem życiu całemi dniami włóczyły się po żebrach, zakładając szkółki robocze. Rozwiązanie zaś kwestji mieszkań rzemieślniczych ujęła w swe dłonie pani Burdett Couts. Pani L. Twining zajęta jest obecnie poprawą angielskich zarządów domów ubogich, zakładając dla lepszej kontroli stowarzyszenia, których zadaniem jest zwiedzanie i nadzór kolejny w tych domach. Pani Franciszka Power Coble wraz z panią Bessie Parlees starają się o reformę, w tak licznej klasie służących. Nieobawiając się bynajmniej zarzutu wyłamywania się z pod praw niewieścich, zwiedza żona znakomitego podróżnika pani Baker źródło Nilu. Pani Nigstingale zjednoczyła sobie powszechne uznanie i niekłamane zasługi przez swe reformy urządzeń lazaratów i w ogóle całego nadzoru i pielęgnowania chorych po szpitalach publicznych. Niezwykłą bystrością spostrzegawczą obdarzony jej umysł, odkrył podczas wojny krymskiej przyczyny uzasadnione, dla czego po szpitalach i lazaretach polowych angielskich tak przerażającą śmiertelność panowała. To co uszło uwadze doświadczonych praktyków przez długie lata, co zresztą prześlepiała w biurokratycznie swem zastarzała i niezdarna cała armja urzędników angielskich, to wykryła kobieta przejęta ogniem czystej i bezinteresownej miłości ludzkiego rodzaju. Przeglądnijmy nakoniec sprawozdania doroczne kongresów ku podniesieniu umiejętności państwowych zwoływanych, a przekonamy się dowodnie, ile tam reform i głęboko obmyślanych planów podały kobiety.

Szereg tych znakomitych imion, które tylko nawiasowo przytoczyliśmy, z każdym dniem prawie wzrasta, przyczem nienależy zapominać, że kobiety angielskie w literaturze i powieści dzierżą wybitny kierunek wyższy i moralny. To są powody, dla których kobieta w Anglji domaga się słusznie szerszych praw politycznych. Stała się bowiem tam kobieta tak ważnym już czynni-

kiem życia państwowego, że nikt nie może zaprzeczyć, aby owoc jej płodów nie miał nadzwyczajnej wartości. (C. d. n.)

DZIEDZICZNOŚĆ CHARAKTERU

przez

A... S...

II.

Dziedziczność więc jest ukazującym się pod rozmaitemi postaciami, ale niezaprzeczonym faktem. Sprowadzając różne jej objawy do grup ogólnych otrzymujemy następujące ich ogólne definicje, które Ribot w ten sposób stawia:

1. Czy cechy specyficzne (t. j. całemu rodzajowi wspólne) bądź fizyczne, bądź moralne, przekazują się drogą dziedzictwa? Niewątpliwie widzimy to u zwierząt i ludzi.

2. Czy cechy bardziej szczegółowe należące do rasy lub odmiany są dziedziczne. Bez wątpienia: buldog nie urodzi pincza, a murzyn białego. Odnosi się to również i do uzdolnień psychicznych: zwierzę bowiem odziedzicza nie tylko właściwe instynkta swego rodzaju, ale także i gatunku. Murzyn odziedzicza nie tylko władze umysłowe wspólne wszystkim ludziom, ale nadto właściwy sobie ustroj duchowy (przewagę czułości, wyobraźni, pociągów zmysłowych itd.)

3. Czy cechy czysto indywidualne są również dziedziczne? Fakta wykazały, że są — często.

Z tego ogólne prawo: że dziedziczność jest faktem a niedziedziczność wyjątkiem. Podziałami zaś tego prawa są następujące z obserwacji wyciągnięte reguły:

I. Dziedziczność jest bezpośrednią, t. j. gdy rodzice przekazują dzieciom właściwości swej natury. Wtedy albo dziecko dziedziczy od obojga rodziców w równej mierze, fizyczne i moralne przymioty; albo od jednego z nich, przyczem znowu zachodzą dwa wypadki: albo ma miejsce dziedzictwo w linji jednopłciowej (tj. np. z ojca na syna) albo różnopłciowej (tj. z ojca na córkę a z matki na syna.)

II. Dziedziczność zwrotna albo atawizm polegający na odradzaniu się w potomkach natury dalszych przodków (z dziadka np. we wnuka.)

III. Dziedziczność poboczna albo pośrednia, która nie przechodzi jak poprzednie w prostej linji, lecz np. z wuja na siostrzeńca.

IV. Wreszcie bardzo wątpliwą jest tak zwana dziedziczność przez wpływ; tu miejsce wtedy gdy dzieci z drugiego małżeństwa przejmują naturę zmarłego pierwszego małżonka.

Pierwszy z rodzajów dziedziczności o tyle, o ile na nią oboje rodzice w jednakowej mierze się składają tj. że dziecko jest summą ich uzdolnień i instynktów, jest dotąd tylko idealną formułą teorji, która posiada wszystkie warunki prawdopodobieństwa eksperymentalnie jednak dowieść się nie da. Natomiast przewaga w potomstwie natury jednego z rodziców, jest faktem bardzo znanym i dającym się łatwo rozeznać. Przytoczone poprzednio dowody już stwierdzają istnienie prawa bezpośredniej dziedziczności, ażeby mu jednak dostarczyć szerszą faktyczną podstawę, przypomnę czytelnikom kilka historycznych genealogji. Poprzednio tylko dodać muszę, że niezależnie od tych lub innych hipotez nauka dotąd nie może pozytywnie określić, który wypadek dziedziczności jest częstszy, czy jedno czy różnopłciowa, gdyż obie przytoczyć mogą równą ilość dowodów. N. p.

Jednopłciowa:

Ojciec:	syn:
Nikomach	Arystoteles
Scipio (P. Cor.)	Scipio (Afr.)
Wespazjan	Tytus
Pepin z Herystalu	Karol Martel
Karol Martel	Pepin Mały
Hamilkar	Hannibal Hazdrubal Mago
Wilchel Nassauski	Maurycy Nassauski
Tasso Bernard	Tasso Torquato
Giov. Sanzio	Rafael Sanzio
Jacopo Bellini	Giovani Bellini
Teniers David	Teniers David
Racine Jan	Racine Ludwik
Mozart Jan Grzegorz	Mozart Jan
W. Herschel	J. Herschel
Arago Franci	Arago Emanuel
Pitt	Pitt W.
Mil James	Mill J. Stuart
Schopenhauer	Schopenhauer Artiur.
i t. d.	i t. d.

Różnopłciowa:

Matka:	syn:
Olimpija	Aleksander Wi.
Kornelja	Grachowie
Livia	Tyberiusz
Agrypina	Neron
Faustina	Kommodus
Soemia	Heliogabal
Mammca	Aleksander Severus
Marozia	Jan XI.
Blanka Kastylska	Ludwik IX.
Ludwika Sabaudzka	Franciszek I.
Karolina Sabaudzka	Karol VIII.
Katarzyna Medici	Jej synowie
Joanna d' Albret	Henryk IV.
Marja Medici	Ludwik XIII.
Anna Krystyna Marlin	Buffon
Panna de Temin	D' Alembert
Genowefa de Vassau	Mirabeau
	Goethe
	Lord Byron
i t. d.	i t. d.

Spis ten czytelnik powiększyć może wieloma innemi faktami zaczerpniętemi bądź z własnej pamięci bądź z prac Ribota, Lucasa. Nierównie mniej ich posiada druga kategorja dziedziczności mianowicie atawizm, jeszcze mniej trzecia t. j. dziedziczność poboczna. Co się zaś tyczy czwartej, według której dzieci wdów powtórnie zaślubionych mają niekiedy dziedziczyć naturę pierwszych mężów — ta nie zdobyła jeszcze dotąd nawet tyle dowodów, ile ich potrzeba na postawienie najśmielszej hypotezy.

Sądzę że myślący czytelnik z całej sumy przytoczonych faktów wywnioskował przynajmniej tę prawdę, że psychologiczna dziedziczność istnieje i że nieraz ciągnie się przez kilka pokoleń. Ta konkluzja jest na teraz zupełnie wystarczającą. Idźmy więc dalej. (C. d. n.)

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— Historja unji kościoła ruskiego z kościołem rzymskim napisał ks. Edward Likowski. W Poznaniu. 1875.

Nowe zamachy Moskwy na unję w dyecezji chełmskiej dały przeważnie popęd szanownemu autorowi do napisania tego dzieła. Prócz kilku szkiców, historja unji, ta ważna karta dziejów naszych, nie została dotąd historycznie opracowaną. Otrzymujemy ją obecnie od ks. Likowskiego doprowadzoną do dzisiejszej chwili a popartą dokumentami dziejów unji dotyczącemi.

— Nauka o ziemi i ciałach niebieskich tudzież o atmosferze ziemskiej. Poznań, nakład I K. Żupańskiego, r. 1875.

Praca powyższa uwieńczona nagrodą przez wielkopolskie towarzystwo oświaty, rozdziela się na dwie części, z których pierwsza zajmuje się ciałami niebieskiemi, druga zaś atmosferą. Wykład cały jest popularny, dla młodzieży bardzo przystępny, a dwie tablice, umieszczone na końcu dzieła ułatwiają zrozumienie zajmującego przedmiotu.

— Wykład systematyczny Tagmonlogji, czyli dotychczas tak zwanej „Filozofji" przez Dr. A. Z. Molickiego; zeszyt I. Kraków. 1875.

Młody pisarz, którego imię nie jest jeszcze obszerniejszym kołom czytelników znane, podjął się jak widzimy wielkiej pracy, którą, wnioskując z pierwszego zeszytu, szczęśliwie przeprowadzi. Zeszyt pierwszy zawiera dopiero połowę wstępu, drugi zaś, w którym wstęp będzie ukończony, wyjdzie w maju rb.

— Herbarz polski podług Niesieckiego, powiększony wypisami z późniejszych autorów, z aktów grodzkich, poznańskich, z ksiąg kościelnych oraz z dokumentów familijnych. Tom I. W Gnieźnie. 1874.

Pierwszy ten tom zawiera rysunki herbów z ich opisem. Poprzedza przedmowa o tarczach, herbach i godłach szlacheckich, dalej spis godności, urzędów senatorskich i ziemskich, wreszcie wzmianka o stanie szlacheckim jakoteż o zaszczytach i orderach. Autorem i wydawcą jest K. Łodzia Czarniecki.

— Edward Lubowski „Wallenstein". Studjum literacko-historyczne. Warszawa. 1874.

Pomiędzy licznymi bohaterami, jakich wywołała na scenę wojna trzydziestoletnia, największym może jest Wallenstein. Od natury już bogato uposażony, posiadając nadzwyczajną przenikliwość i odwagę nie znającą granic, gdy przytem jeszcze i szczęście mu sprzyjało, otworzył zbieg okoliczności jego genjuszowi nader rozległe pole. Wszystko, cokolwiek o Wallensteinie wiemy, jest wielkie a tem bardziej zajmujące, iż jakaś tajemnicza pomroka zdaje się okrywać najgłówniejsze chwile jego życia. Naturalnem więc było, iż Schiller, autor gruntownego studjum nad historją trzydziestoletniej wojny, czyny i charakter tego bohatera wziął za przedmiot trylogji dramatycznej: „Obóz Wallensteina", „Piccolominowie" i „Śmierć Wallensteina". Powyższa praca p. Lubowskiego ma na celu wykazanie różnicy, jaka zachodzi między Wallensteinem, jak go Schiller w wspomnionej trylogji przedstawił, a Wallensteinem, jak go historja podaje. Pracy tej dokonał p. Lubowski na podstawie najnowszych badań o Wallensteinie i dobrze się zasłużył polskiej literaturze, zwłaszcza, że przytoczona trylogja Schillera wychodzi obecnie w „Bibljotece najcelniejszych utworów literatury europejskiej" w przekładzie Wł. Sabowskiego.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura i sztuka.

— Druk pamiątkowej książki dla Seweryna Goszczyńskiego, pt. „Sobótka" raźnie postępuje i niezadługo będzie ukończony. Prenumeratę ciągle jeszcze można przysyłać.

— Nigdzie tak łatwo jak u nas nie popada się z jednej ostateczności w drugą. Niedawno jeszcze literatura drzymała na gruncie galicyjskim, a teraz jak z rogu obfitości posypały się pisma najrozmaitszego rodzaju. Temi dniami zaczęło znowu wychodzić nowe pisemko codzienne pt. „Kurjer polski" założone na wzór Kurjerka warszawskiego. Boimy się czy tyle naraz publikacyj nie będzie dla nas za wiele. Cukier jest słodki i dobry, ale woda się nim prędko przesyca i nie wiele go przyjmuje. — Numer pierwszy „Wieńca" którego prospekta już się rozeszły, właśnie opuścił prasę; dołączamy go na okaz do numeru dzisiejszego. Każdy po przeczytaniu musi przyznać, że „Wieniec" ma tendencję uczciwą, że dobrze jest redagowany i że dlatego powinniśmy go wedle sił wspierać. A więc powiedzmy sobie że mu upaść nie pozwolimy, nakłaniajmy wszystkich do prenumeraty, a utrzymamy w Galicji dobre pismo ludowe. Że pożytek potem będzie o tem ani wątpić.

— Koncert na korzyść funduszu zakupna „Unji“ Matejki, i przedstawienie teatralne na korzyść Towarzystwa wzajemnej pomocy artystów wypadły pod względem artystycznym bardzo dobrze, ale pod względem finansowym słabo. Już to publiczność nasza nie bardzo się ciśnie na przedstawienia dobroczynne. Czemu to przypisać doprawdy nie wiemy.

— W niedzielę odbędzie się koncert panny Siegenfeld, nieposolitych zdolności pianistki warszawskiej, o której spodziewanym przyjeździe donosiliśmy swego czasu. Spodziewamy się że tym razem publiczność napełni salę ratuszową.

— Na konkurs dramatyczny krakowski przysłano dotychczas 47 utworów. Z tych 22 komisja odsądziła od wspólnego czytania jako zbyt słabe. Do kilku tygodni usłyszymy, która sztuka otrzymała pierwszą nagrodę.

— Reżyserem w wielkim teatrze warszawskim, w miejsce zmarłego Jana Chęcińskiego, został W. Rapacki.

— W W. ks. Poznańskiem zacznie wychodzić pod redakcją Dr. Z. Celichowskiego „Kurniszanin“ — pismo poświęcone wyłącznie sprawom gmin Kurnika, Bnina i okolicy. Jest to pierwsza tego rodzaju publikacja polska. U nas w Galicji zdałyby się pismka przynajmniej w większych miastach prowincjonalnych. Dotąd mamy tylko „Hasło“ w Stanisławowie i „Dzwonek“ w Tarnowie.

— Wiedeńska Akademja umiejętności przyznała tragedji Adolfa Wilbrandta pt. „Grachus trybun ludowy“ pierwszą nagrodę konkursową w ilości 1500 guldenów.

— Księgarze Schickhard i Ebner w Stuttgardzie, rozpoczynają od Stycznia 1875 wydawnictwo nowego czasopisma ilustrowanego pt. „Sport“ w kwartalnych zeszytach z kolorowanemi rycinami i drzeworytami z oryginalnych rysunków najznakomitszych malarzy koni. Pismo to przeznaczone dla jeźdźców i amatorów koni stanowić będzie pendant do wychodzącego od dwóch lat w tej samej księgarni myśliwskiego dziennika „Diana“.

— Francuscy pisarze postanowili na odbytem niedawno zebraniu zamianować w Londynie, Berlinie i Petersburgu ajentów, do których potrzeba będzie się udawać o pozyskanie prawa przekładu utworów nowej literatury francuskiej.

— Stowarzyszenie znane pod nazwiskiem „Société royale et centrale des Sanateurs de la Belgique“ zapowiada na rok 1876 od 1. czerwca do 1. listopada wielką międzynarodową wystawę wszystkich instrumentów, przyrządów i środków służących do ratowania i utrzymywania zdrowia ludzkiego. Z wystawą tą połączony będzie kongres, którego zadaniem będzie rozwiązanie wielu ważnych kwestji w tym przedmiocie. Kongres uprasza wszystkie humanitarne stowarzyszenia i związki o zakomunikowanie mu swoich spostrzeżeń i doświadczeń w kwestji ratunku i utrzymania życia ludzkiego, które rozprzestrzenić jak najbardziej będzie jego staraniem. Urządzeniem kongresu i wystawy zajmie się komitet pod prezydencją hrabiego Flandrji. Na pokrycie kosztów otwartą zostanie subskrypcja akcyjna, z akcjami po 200 fr. Osoby chcące w wystawie lub kongresie wziąć udział, muszą się zgłosić do komitetu brukselskiego najdalej do 1. marca 1875. Rozdział nagród nastąpi przy okazji wielkich świąt wrześniowych w 1876.

— Na pomniku Livingstona w Westminsterze położono następujący napis, złotemi literami na czarnym marmurze: „Przywieziony przez swych wiernych towarzyszy, z poza mórz i lądów, spoczywa tutaj Dawid Livingstone, misjonarz, podróżnik, filantrop, ur. 19. marca 1813 w Blantyre, w Lanarshire; umarł 1. maja 1873, w dolinie Chittambo, w krainie Ulala. Przez trzydzieści lat swego życia podejmował nieustannie usiłowania, w celu ucywilizowania ras miejscowych, wykrycia tajemnic przyrody i zniesienia handlu murzynami, który pustoszy środkową Afrykę, gdzie też napisał te ostatnie słowa: „Wszystko co mogę zrobić w mojej samotności, ogranicza się do wezwania hojnych błogosławieństw boskich dla wszystkich tych, — bez względu na to czy to będą Amerykanie, Anglicy czy Turcy, — którzy przyczynią się do zniesienia tej plagi ludzkości“. Na drugiej stronie marmurowej bryły, wypisane są te dwa wiersze:

„Tantus amor veri — Nihil est quod noscere nolim,
Quam fluvii causas per sæcula tanta latentes.“

Podróże i wynalazki.

— Do londyńskiego towarzystwa geograficznego przyszło niedawno sprawozdanie porucznika Grandy z przebiegu wyprawy jego w głąb Afryki. Grandy donosi, że znalazł w wielu miejscach bardzo wygodne drogi i doznał od naczelników pokoleń bardzo dobrego przyjęcia a nawet pozyskał od nich obietnicę wspierania przyszłych ekspedycyj. Zalecił mieszkańcom pielęgnowanie drzew gumowych, których wartość dla przemysłu europejskiego — dotychczas im nieznaną była. Znalazł ślady licznych kolonij portugalskich w Congo. Mieszkańców tamtejszych przedstawia jako na pół cywilizowanych, wielce gnuśnych i oddanych namiętnie nałogowi palenia tytoniu. Palmy rosną tam w obfitości, a olej z nich używa się na wyrób niezmiernie odurzającego wina.

— Stowarzyszenie w Bremen zajmujące się urządzaniem wypraw do bieguna północnego rozpatrywało d. 2. bm. plan nowej ekspedycji, która ma wziąć za podstawę swoich działań wschodnie wybrzeże Grenlandji. Ekspedycja ta wypłynie w tym samym czasie co angielska dążąca do zachodniego wybrzeża Grenlandji, tj. w Czerwcu 1875, — jeżeli zaś przygotowań potrzebnych do tego czasu nie będzie można skończyć — w takim razie wyruszy aż w 1876.

— Profesor Nordenskjöld znany szwedzki podróżnik i naturalista, zamierza obecnie stanąć na czele nowej wyprawy arktycznej, która wytknęła sobie za główny cel badania naukowe okolic podbiegunowych.

— Najnowszem i najważniejszem z odkryć dokonanych w Rzymie jest odkopanie zupełne ogrodu Mecenasa na Eskwilianie. Znalazły się tam posągi, piedestały, szczątki rzeźb różnorodnych. W głębokości zaś 7 metrów dokopano się do „czytelni“ Mecenasa, która widocznie dla chłodu tak nisko położoną była i przez otwór w sklepieniu światło otrzymywała. Ma ona 10 metr. 60 centmetr. szerokości a 24 metr. 40 centm. długości. Dla słuchaczów jest w niej siedem rzędów ławek amfiteatralnie ustawionych. Pomiędzy temi ławkami a przeciwległą trybuną lektora w ścianach znajduje się 6 niż, a 5 z tyłu za ławami. W niżach tych dają się spostrzedz jeszcze ślady malowideł ściennych.

Statystyka.

— W ubiegłym roku wydano w Wielkiej Brytanji 4625 dzieł. W tej sumie znajduje się 664 prac teologicznych, 356 filozoficznych i pedagogicznych, 229 książek dla dzieci, 825 romansów, 124 dzieł prawniczych, 633 poświęconych sztuce, wiedzy i ich dziejom, 133 opisów podróży i badań geograficznych, 393 obejmujących historję i bjografję, 305 zbiorów poezji i dramatów, 249 roczników, lub czasopism wychodzących rocznie, 135 dzieł medycznych i chirurgicznych, 211 poświęconych sztukom pięknym, i wreszcie 103 różnorodnej treści. W porównaniu z rokiem poprzednim cyfry te niższe są o 542 dzieł.

— Ze wszystkich państw ziemi całej Uruguay zdaje się być najbardziej zadłużonym. Jeżeli się bowiem podzieli dług państwowy przez liczbę mieszkańców tego kraju, to wypadnie, że każdy Brazylijczyk winien 150 fr., każdy Chilijczyk 167, każdy Włoch tam osiadły 300, każdy Anglik 417, każdy Francuz 450, każdy Urugwajczyk wreszcie 1433 fr.

— Angielska poczta wysłała w r. 1873 907,000.000 listów i przesyłek pod opaską, co daje przeciętnie na każdą głowę całej ludności Anglji 28 listów. W 1839 r. przy istniejącej naówczas wysokiej opłacie od listów ekspedjowano ich 82 miljony; po wprowadzeniu opłaty 1 pena ($4\frac{1}{4}$ centa) podniosła się ta ilość już w 1840 do 169 milj. więcej tedy niż o sto procent. W październiku 1871 r. nastąpiło nowe zniżenie o pół pena, które, rzecz naturalna, na tak olbrzymi już ruch, wielkiego wpływu wywrzeć nie mogło, — w każdym razie jednak wywołało przyrost od 1870—1871 20 milj. w 1872 18 milj. a od 1872—1873 22 miljonów listów. Zaliczek pocztowych wystawiono w 1873 r. 15 milj. sztuk w wartości 256 milj. złr.

Wielkie zakłady.

— Towarzystwo, które sobie wzięło za zadanie budowę wygodnych domów dla rzemieślników, wyrobników itd. w Londynie, postanowiło w zachodniej części stolicy, wznieść całe „miasto robotnicze“, na 16.000 mniej więcej mieszkańców. Miasto to, które się ma nazywać „Queens Park“, będzie podobne do takiegoż miasta, zwanego „Shaftesbury Park“, ale nie zupełnie takie same. Ma ono obejmować sześć głównych ulic, przez całą swoją długość zasadzonych drzewami. Z każdej głównej ulicy, ma wychodzić dwadzieścia ulic pomniejszych, które otrzymają nazwy według porządku alfabetycznego, systemem amerykańskim. I te ulice również będą wysadzone drzewami, a domy na nich, dla uniknięcia zwykłej w takich miastach jednostajności, nie na jedną modłę będą budowane. Pod całe miasto, które będzie miało swój park, swoje łaźnie, pralnie, czytelnie i zakłady literackie, wyznaczono 80 akrów przestrzeni. W ogóle ma ono zawierać 2.000 domów, podzielonych na 4 klasy, a wynajmujący je, po pewnym przeciągu lat, mogą stać się właścicielami. Już 2.000 lokatorów zgłosiło się na mieszkanie w tem nowem mieście, a 1.700 z nich ma zamiar z czasem pokupić sobie domy. Gdyby to nasze towarzystwa budowlane chciały choćby w cząsteczce, choćby na dużo a dużo mniejszą skalę, naśladować przykład towarzystwa londyńskiego !....

Wojskowość.

— W koszarach artylerji pieszej w Berlinie znajduje się maszyna do roboty butów, która przy pomocy 42 ludzi wyrabia dziennie 104 par obuwia najwyborniejszego gatunku.

— Francja zdecydowała się wreszcie na wprowadzenie karabinów systemu Grasa. Są to zmodyfikowane szaspoty do nabojów metalowych, kalibru 11 milim. Zakłada się na nie bagnet zakrzywiony. Początkowa szybkość strzału z nich wynosi 420 metrów; dają 12 strzałów na minutę. — niosą na odległość 1200 metrów — maximum 2000 metr. Z końcem r. 1875 ma być 200.000 takich karabinów zrobionych całkiem nowo; 1,800.000 zaś przerobionych z szaspotów.

— Obrady nad ufortyfikowaniem Rzymu z końcem grudnia r. z. rozpoczęły się pod przewodnictwem następcy tronu włoskiego ks. Humberta.

— Komisja dla zbadania siły materjałów eksplodujących złożona z wybranych oficerów angielskiej artylerji przyznała bawełnie strzelniczej wyższość nad dynamitem i lithofractorem, które wprawdzie mają większą siłę rozprężliwości w stanie świeżym, ale w przechowaniu w skutek wpływów chemicznych tracą jej znaczną część.

Gospodarstwo.

— Rząd szwajcarski rozesłał do innych rządów okólnik, opierając się w nim na memorjale swojego posła w Wiedniu, znanego badacza przyrody p. v. Tschudi. Uczony ten w memorjale swoim sygnalizuje olbrzymie, straszliwe niebezpieczeństwo zagrażające europejskiemu gospodarstwu rolnemu. A mianowicie zwraca uwagę na tak zwanego dziesięciolinjowego chrząszcza z Colorado (Doryhora decemlineata), który sprowadzić może zupełne zniszczenie hodowli kartofli. Ojczyzną tego chrząszcza są Rocky Mountains (Góry Skaliste) na wschodzie Stanów Zjednoczonych, ale rozszerza się on z tak niesłychaną szybkością, że dzisiaj już stał się plagą całej Ameryki. Płodność jego jest istotnie przerażającą, a szkody jakie wyrządza w kartoflach nieobliczone. Dalej p. v. Tschudi w memorjale swoim, na którym opiera się okólnik rządu szwajcarskiego, nie tylko zwraca uwagę na to niebezpieczeństwo i drogę, przez którą dostać się ono może do Europy, ale zarazem podaje środek zapobieżenia mu. Środkiem tym jest zaprowadzenie we wszystkich portach Europy jak najostrzejszej ostrożności w obec okrętów przybywających z Ameryki.

— W lasach szumawskich (Böhmerwald) w Czechach grasuje czerw kornik wyrządzający niezmierne szkody. Obszar cały tych olbrzymich lasów wynosi 648.276 morgów. Na tej przestrzeni już dotychczas 145.900 morgów zniszczonych zostało przez ową plagę. Największe wysilenia nie zdołały jej jeszcze usunąć.

Nekrologja.

— Dnia 5. bm. zmarł nagle w Wilnie naczelnik tamtejszy firmy księgarskiej Zawadzkich, Antoni Zawadzki, powszechnie szanowany jako kupiec i obywatel; zmarły liczył około 60 lat życia.

ROZMAITOŚCI.

— W mieście naszem przeraziła wszystkich wiadomość o nagłej śmierci Witolda Borkowskiego, który w przystępie melancholji życie sobie odebrał. Był to młodzieniec postępowy i zdolny. Napisał kilka utworów scenicznych, mianowicie: „Ofiary“, „Klementyna Sobieska“ i „Stosunki rodzinne“ z których każdy odznacza się poczciwą tendencją. Szkoda młodzieńca, który gdyby nie przedwcześnie złamany mógł przy pracy zajść daleko.

— Za przylądkiem północnym, nad fiordem Varanger leży norwegskie miasto Vadsö, obok niego zaś na małej wysepce przeciwległej znajduje się zakład jedyny w swoim rodzaju. Jest to wielka rzeźnia wielorybów. Morze w tych stronach obfituje w tych olbrzymów morskich. Otóż niejaki p. Foyn urządza na nie łowy systematyczne, i wyzyskuje je na wszelki możliwy sposób w fabrykach na owej wysepce urządzonych. Łowy pana Foyna odbywają się w oryginalny sposób — bo za pomocą armaty. Armata ta umieszczona na przedzie śrubowego parowca, skoro statek przybliży się na odległość strzału do wieloryba, wyrzuca ze siebie pocisk opatrzony harpunami i przyrządem mechanicznym tak dowcipnym, iż w chwili gdy kula uderza w wieloryba a harpun go zahacza, granat nabity, wiszący przy harpunie pęka i nowym ciosem godzi w zwierzę. W miesiącach letnich przecięciowo przynajmniej jednego wieloryba chwytają w ten sposób. Gdy go przywiozą i złożą nad brzegiem, następuje homeryczna prawdziwie scena płatania go. Na to ogromne cielsko wdrapują się robotnicy z siekierami, nacinają skórę wzdłuż i na poprzek i zostawiają siekierę w tem zacięciu. Do siekiery przywiązaną jest lina, drugim końcem przyczepiona do koła windy. Winda obracając się obłupia powoli ze skóry olbrzyma. Przy tej operacji krew zwykła się lać takiemi strumieniami z pacjenta, że morze na wielką przestrzeń w około krwią się rumieni, a robotnicy literalnie po kostki we krwi brodzą. Wnet przedstawia się wieloryb jako olbrzymia, czerwona, bezkształtna masa mięsa, tłuszczu i kości. Następuje podział tych cząstek. Lepsze części mięsa idą na pożywienie robotnikom, którzy twierdzą, że jest wyborne i ma smak wołowego. Reszta wraz z wnętrznościami przenosi się na inną część wyspy i tam na guano się zamienia. Tłuszcz zaś w fabryce na tran przerobiony w wielkich beczkach transportem do Europy odchodzi. Fiszbin z tutejszych wielorybów niższego jest gatunku — w każdym razie jednak ma wartość w handlu. Wartość zaś całego zwierzęcia wynosi 1—2000 talarów. A ponieważ w miesiącach letnich — na każdy dzień jednego prawie wieloryba liczyć można — przynosi tedy to przedsięwzięcie panu Foyne wcale piękne dochody. Dzisiaj już ów zapomniany, skryty gdzieś w głębi północy łowca wielorybów jest tak prawie bogatym, jak Rotszyld!

— Ogród zoologiczny w Regents Parku, w Londynie był niedawno sceną straszliwej walki i bardzo pięknego czynu. Nosorożec indyjski, — olbrzymi, około 140 centnarów ważący, niezmiernie złośliwy zwierz — skorzystał z chwili gdy dwaj dozorcy Thompson i Godfrey tak byli zajęci czyszczeniem klatki, że przestali na ruchy jego zważać i uderzył na nich ze ślepą wściekłością. Atak ten był tak niespodziany i szybki, że ci dwaj nieszczęśliwi, nie mając czasu na uniknięcie lub wymijanie zwierza, zdawali się już bez ratunku od jego łaski lub niełaski zależeć. Kilka minut jeszcze a najstraszliwszy zgon byłby ich udziałem, — ale na szczęście w pobliżu znajdował się pomocnik nadzorcy Matthew Scott. Ten słysząc hałas i chrapanie zwierza, domyślił się natychmiast jakiegoś nieszczęścia. Nie namyślając się więc schwycił za pierwszą lepszą broń, jaka się znalazła pod ręką: za ciężki szpicrut i pobiegł z nim na miejsce wypadku. Tutaj, orjentując się od razu, spuścił szalony grad ciosów na głowę zwierzęcia i szczęśliwy wypadek zdarzył, że trafił je od razu w same oko. Ból dobył z nosorożca głuche wycie, pełne wściekłości i zmusił go do cofnięcia się nieco. Scott skorzystał z tej chwili i nie przestając siec odurzonego zwierza zdołał wypędzić go z klatki w ogrodzenie. Poczem, nie tracąc czasu, zawlókł obudwu towarzyszy swoich do kąta, otoczonego grubą kratą i stanowiącego rodzaj schronienia, ale tak ciasnego, że w nim ledwo jeden człowiek mógł się pomieścić. Thompson miał tylko tyle siły, że się trzymał na nogach, ale Godfrey zemdlał, upadł i to głową po za barjerę. W tej samej chwili nosorożec uczynił drugi atak i starał się wychyloną głowę Godfreya zdruzgotać. Scott ciosami szpicruta odparł go znowu i Godfreya przyciągnął do siebie. W tej chwili jednak i Thompson przytomność stracił, i chylił się do upadku. Scott chcąc go podeprzeć upuścił z rąk Godfreya, który się znowu wysunął po za barjerę. Nowy napad nosorożca — odparty na nowo przez Scotta. Widząc jednak, że każda minuta niebezpieczeństwo groźniejszem czyni, dzielny Scott decyduje się, bierze Godfreya na barki i odnosi go, nie tracąc dzikiego zwierza ani na chwilę z oczu, na bezpieczne miejsce — a potem wraca po Thompsona i w ten sam sposób go ocala. Scott wyszedł z tej całej przygody bez jednej rany — podczas gdy dwaj pozostali dozorcy pokaleczeni są straszliwie.

— Rozsa Sandor postrach Alföldu, widocznie nie zginie z ręki kata. Jak wiadomo powszechnie już w r. 1848 po raz pierwszy ułaskawił go Koszuth; po raz drugi, skazany na śmierć przez sądy, przez monarchę ułaskawionym został. W r. 1868 jako więzień kufsteinskiej twierdzy otrzymał łaskę po raz trzeci i to za staraniem swoich współziomków z Szegedyna a na podstawie, że zdrowie jego osłabione długim pobytem w kazamatach szegedyńskich, na cały dalszy żywot nieszkodliwym go już uczyni. Wiemy jednak z dzienników że w najnowszych czasach sławny ten rozbójnik znalazł siły do nowych awantur. Zdawało się na ten raz już się nie wymknie. On jednak temu nie wierzył. Gdy mu czytano wyrok śmierci, zaapelował od niego i rzekł spokojnie: „Mnie powiesić! żarty!... Ja zawsze dostanę ułaskawienie od cesarza lub od kogo innego!“... I w istocie nadzieje jego się sprawdziły. Zamieniono mu karę śmierci na dożywotnie ciężkie więzienie.

— Jeden z dzienników amerykańskich podaje następującą ciekawą wiadomość, która jeżeli nie jest prawdziwą, to przynajmniej charakteryzuje wybornie obyczaje i pomysłowość amerykańską. W jednem z miast terytorjum washingtonowskiego zabierano się niedawno do wykonania wyroku śmierci na pewnem indywiduum. Biedny delinkwent wypowiedział już ostatnią orację swoją do tłumu i szeryf miał dać znak do fatalnego zakończenia jego ziemskich losów, gdy nagle ajent do sprzedaży domów przebija się przez tłum otaczający rusztowanie, i grzeczny składając ukłon skazanemu i szeryfowi, uprasza o pozwolenie wstąpienia na chwilę na rusztowanie, chciałby bowiem oznajmić publiczności o niezmiernie tanich placach pod budowę domów, które ma na sprzedaż. Szeryf będąc sam właścicielem kilku takich placów, z chęcią udzielił żądane pozwolenie, z czego korzystając agent z wysokości rusztowania w dłuższej mowie wszystkie korzyści projektowanego kupna rozwinął. Szczególniej wzruszył obecnych ten ustęp z przemowy ajenta, w którym wyraził swój żal, że mający być wysłanym za chwil kilka w szczęśliwsze krainy za pomocą stryczka, z przyczyn, które od niego, mówcy, nie zależą, nie będzie mógł korzystać z szybkiego powiększenia się wartości gruntów, jakie niewątpliwie wkrótce nastąpi. Wreszcie gdy mowca błyszczącym zwrotem orację swoją zakończył, przystąpił szeryf do ostatecznego spełnienia swej urzędowej misji tj. pozwolił więźniowi świat nogami pożegnać.

— Najsilniejszem i najbardziej inteligentnem z pomiędzy zwierząt ssących lądowych jest niezawodnie słoń. To też te przymioty jego oraz wrodzona łagodność i łatwość w przyswajaniu się, uczyniły go od niepamiętnych czasów zwierzęciem domowem i pożytecznem w Azji, który badacze natury za właściwą kolebkę jego uważają. Na rzeźbach i rysunkach starych budowli indyjskich wszędzie spotyka się obok człowieka — słonia pomagającego mu w potrzebach codziennego życia. Mieszkańcy Indostanu, Ceylonu i większej części wysp archipelagu sundzkiego, kędy słonie znajdują się w wielkiej obfitości, przyswajają ich znaczną ilość a za pomocą oswojonych przywabiają i chwytają dzikie. Osobliwą jest rzeczą, — powiada przyrodnik Tennent, — który długi czas zamieszkiwał Ceylon, wielekroć polował na słonie i nader ciekawe dzieło o faunie ceylońskiej napisał, — osobliwą jest rzeczą, że dziki słoń zwabiony przez oswojonych braci swoich w ogrodzenie, z którego wydostać się nie może, nie robi najmniejszego użytku z olbrzymiej siły swojej, aby się uwolnić, owszem wtedy właśnie w całej pełni wychodzi na jaw łagodność i bojaźliwość jego natury. Chociaż bowiem z początku wpada w głęboki smutek i nie chce przyjmować żadnego pokarmu — prędko jednak uspokaja się i staje posłusznym — a cud ten wywołuje w nim potęga muzyki! Taż sama potęga czyni go zapalczywym i wojowniczym. Tony wojennej muzyki oddziaływają tak samo na słonia, jak na konie, — rzuca się on, zagrzany wojennemi dźwięki z niesłychaną zapalczywością w wir walki i czyni nieraz wielkie szkody nieprzyjaciołom. W obec nawet dzisiejszego stanu sztuki wojennej — słoń armji użytecznym być może. Przy armji bengalskiej znajduje się ciężka baterja dział ciągniona przez słonie, które wybornie tę posługę spełniają. Należy jednak umiejętnie się z niemi obchodzić. Mimo bowiem tak olbrzymiej masy ciała, tak potężnych muskułów i siły, — słoń jest niezmiernie delikatny. Gruba skóra jego z łatwością ulega przy najmniejszem tarciu, długim i bolesnym ranom, a potężne kolumny nóg wielce są miękkie i ochwacić się dają tak dobrze, jak smukłe nogi końskie. Zresztą przy złem obejściu słoń dziczeje a niekiedy nawet wbrew naturze swojej chytrym i mściwym się staje.

— O pochodzeniu króla wysp Sandwichskich, Kalakua, bawiącego obecnie w Washingtonie, ciekawe szczegóły podają dzienniki amerykańskie. W r. 1821 okręt rybacki L'Independance wypłynąwszy z przystani Belfordzkiej w Massachusetts na Cichy Ocean, w celu połowu wielorybów, rozbił się, przyczem zatonęła cała osada z wyjątkiem czterech majtków, którzy dostali się do łodzi. Pomiędzy rozbitkami tymi znajdował się ojciec dzisiejszego króla wysp Sandwichskich, które wówczas zamieszkane były jeszcze przez półdzikie plemiona pierwotne. Rozbitkom powiodło się pomimo burzy dotrzeć do tych wysp; jakoż dość gościnnie zostali przyjęci przez ludność miejscową. Wkrótce stanęli przed królem Kamehamehą a królewna poznawszy młodego majtka o białej cerze tak się w nim rozkochała, że wyznała miłość swą ojcu dodając, iż tylko z Amerykaninem tym może być szczęśliwą. Król przywołał zatem do siebie młodego majtka, który był rodem z Barnstable w Connecticut, i oświadczył mu, że musi poślubić królewnę, inaczej zginie. Rozumie się że praktyczny Jankee wolał spełnić życzenie królewnej, jakoż wkrótce został zięciem Jego Królewskiej Mości i obsypany przez tegoż największemi zaszczytami. Przyjął on wtedy przydomek „Kalakua“ co w języku Kamaków znaczy „Bóg dopomógł“. Szczęśliwe było pożycie małżeńskie zięcia królewskiego, lecz po 25 latach ogarnęła Kalakuę taka tęsknota za krajem rodzinnym, że postanowił odwidzić rodziców w Barnstable. W tym celu puścił się na statku rybackim ku Ameryce, lecz po drodze chciał odbyć połów na wieloryby i w walce z jednym z tych potworów morskich utonął. Królewna-wdowa dowiedziawszy się o śmierci męża, którego w istocie tkliwie kochała, zajęła się troskliwie wychowywaniem syna, i wysłała go na nauki do San Francisco. Tym synem jest dzisiejszy król Dawid Kalakua który obecnie chcąc uczcić pamięć ojca przybył do Ameryki w tym głównie celu, ażeby zwidzić ojcowiznę w Barnstable.

Odpowiedzi Redakcji.

R. w Nowym Sączu. W sprawach tego rodzaju zechce się Pan zawsze zgłaszać wprost do księgarni F. H. Richtera. Przy tej sposobności radzibyśmy także zapytać jakie jest nazwisko pańskie, dotąd bowiem mieliśmy od pana pięć czy sześć listów, a pod każdym inny był pseudonim.

W. w Bochni. Praca ostatnia będzie umieszczona w następnym numerze „Tygodnia“. Chcieliśmy to w tym już numerze uczynić ale miejsca nam brakło.

Ponieważ przez nadzwyczajną omyłkę przy składaniu, w poprzednim, tj. 3. numerze „Tygodnia“ gdzie niegdzie arkusz z Nr. 2. został dołączony do Nr. 3. przeto upraszamy by ci z naszych czytelników, którzy przypadkiem taki numer dostali, odesłali go niezwłocznie do księgarni Richtera we Lwowie, która zwróci numer z dopełnieniem arkusza od str. 281 do 288. Arkusz błędny w Nr. 3. poczyna się od stronicy 265.

Treść Nr. 4.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego), pod zarządem Leona Zubalewicza.